

CZYTANIA HISTORYCZNE

zebrały i ułożyły

Helena Witkowska i Marcelina Kulikowska

I. EPOKA PIASTOWSKA

IV. Ważniejsze wypadki i postacie dziejowe od podziału Polski na dzielnice do śmierci Kazimierza Wielkiego (1138—1370).



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1907

Charakterystyka stosunków w Polsce za panowania synów Krzywoustego.

Z dzieła Stanisława Smolki p. t. „Mieszko Stary i wiek jego.”
Warszawa, 1889. Rozdział V: Prózne zabiegi.

W wiecu łączyckim *) odzwierciadla się wiernie istota zasadnicza tych wszystkich zmian anatomicznych, jakim uległ ustroj państwa polskiego w ciągu czterech dziesiątków lat od śmierci Krzywoustego... Dawniej bowiem były tylko dwa źródła prawodawstwa: stary zwyczaj i wola monarsza. Obydwa źródła nie przestawały bić po dawnemu, ale znaczenie drugiego nadwątliło się ze zmianą stosunków, gdyż wobec upadku władzy książęcej wola monarsza nie mogła pozostać tym, czym była dawniej; inny zresztą był stosunek monarchy do jego własnych prowincji, inny do dzielnic książęcych.

Odkąd te dzielnice, przebywszy próbę długoletniego istnienia, stały się integralną częścią ustroju państwowego, słusznie należał się książętom dzielnicowym legalny udział w zadaniach ustawodawczych, których znaczenie rozciągać się miało na cały obszar państwa; odkąd wreszcie dzieje ostatnich czasów tylekroć to stwierdziły, jak ważny wpływ na

*) Wiec ten odbył się w 1180 roku, za rządów Kazimierza Sprawiedliwego.

losy państwa wywierał żywioł możnowładczy, niepodobna mu było odmówić głosu w prawodawczych usiłowaniach, które bądź co bądź, choć może z inicjatywy monarchy podjęte, przewadze tego żywiołu początek swój zawdzięczały; przede wszystkim powołani byli do tego biskupi, jako najmożniejsza i celująca inteligencją, a więc najbardziej do rady uzdolniona warstwa możnowładztwa. Monarcha zatem, książęta dzielnicowi i kwiat możnowładztwa, wszystkie trzy czynniki, w ręku których wskutek zmienionych stosunków znajdowały się losy państwa, utworzyły na zjeździe łęczyckim ów nowy organ prawodawczy, który dla monarchji Kazimierzowej rzeczywiście był nieodzowną potrzebą...

O powrocie do takiej monarchji, jak za czasów Krzywoustego, nikomu się marzyć nie mogło. Każda dzielnica stała się miniaturową dawną Polską, każdy dwór książęcy był kopją dworu monarchów epoki przedpodziałowej, a tradycje odrębności plemiennej składowych części narodu odżyły na powrót, jak gdyby zbudzone z półtorawiekowego letargu. Świetniejszą i potężniejszą bez porównania była Polska Krzywoustego, ale niepodobna zaprzeczyć, że taki stan, jaki utrzymał się w ciągu czterdziestu lat po jego śmierci, był koniecznością nieuniknioną i ducha czasu wynikiem. Nie znosiła bowiem atmosfera średniowiecznej epoki wielkich organizmów państwowych i co na Zachodzie zdziałał ustrój feudalny, z swą siłą odśrodkową, rozbijającą państwa na atomy, tego na polskim, obcym feudalizmowi gruncie dokonać musiały inne czynniki. Potrzebował bowiem swobodnego rozwoju indywidualizmu jednostek, który tak szeroko i potężnie rozpieierał się w dziejach średniowiecznych; w wielkiej monarchji za mało było dla niego pola, bo w stosunkach ówczesnych szczupła tylko garstka wybrańców mogła się w niej dobić znaczenia i wybitniejszą rolę odegrać, w drobnych zaś terytorjach, z których każde było miniaturową dawną olbrzymią, lada rycerz, któryby niczym pozostał w monarchji Krzyw-

ustego, lada książę, któryby w niej musiał poprzestać na odśpiewywaniu godzinek, stać się mógł teraz łatwo postacią historyczną.

Maleją książęta dzielnicowi przy posagowych konturach swych przodków, ale za to kilku lub kilkunastu ich roi się w kraju, w miejsce dawnego jedynowładcy, i większa różnorodność indywidualności ściiera się na widowni dziejowej, historia przybiera fizjognomję błyskotliwego kalejdoskopu, który co chwila innym nas bawi widokiem, ustępują z placu wielkie cele i potężne zjawiska dziejowe, splaszczą się powierzchnia losów narodu, lecz pogłębia się zarazem ich grunt i korzenie wszystkich czynników cywilizacyjnych silniej w ziemię wrastają. Słowem, horyzont polskich dziejów zlewa się z ogólnym widnokregiem współczesnego średniowiecza i naród cały wprzega się do rydwanu prądów powszechnodziejowych, nie opłacając tego dobrodziejstwa utratą swych właściwości indywidualnych, nie doznając zgubnej dla ducha narodowego niwelacji swoich stosunków z obcymi stosunkami swoich sąsiadów...

O powołaniu Krzyżaków do Polski.

Z rozprawy d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego p. t. „O powołaniu Krzyżaków przez księcia Konrada.” Rozprawy historyczne Akademii Umiejętności, 1903 r.

Oddawna opiewa legiendą, że napady Prusaków były przyczyną, iż niedołężny Konrad, nie mogąc żadną miarą sobie dać rady z nimi, powołał Krzyżaków na pomoc, aby go bronili od pogan, i że dla pozyskania ich oręża podarował im ziemię Chełmińską i całe Prusy. I jakże o tym wątpić, skoro szeroko o tym rozpisuje się Konrad w przywileju Krużwickim z 1230 r., a syn jego, Kazimierz, wyraźnie to poświadcza w osobnym dokumencie.

Ale dokumenty te są podrobione. Na tych zaś dokumentach opierają się relacje późniejszych dziejopisarzy pruskich i polskich.

Wszystkie bulle *) wskazują na to, że Prusacy, ani Polscy, ani ziemi Chełmińskiej nie zagrażali, lecz że gniewy pruskie i napady pruskie były skierowane przeciw Prusakom nawróconym, że zatym dotyczą Polski tylko o tyle, o ile owe kraje można uważać jako należące do Polski.

*) Pozwolenia papieskie na szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród Prusaków.

...Konrad z powołaniem Zakonu łączył plany ambitne i zamiary daleko sięgające.

...Wyposażenie biskupa pruskiego dobrami polskimi należy poczytać za znak, że go uważano za biskupa polskiego i jego djeceję za należącą do Polski. Po nawróceniu Prusaków można było się spodziewać także rozszerzenia granic polskich, ale dotychczasowy sposób przez misje i wyprawy krzyżowe zdawał się Konradowi środkiem zanadto powolnym, chciał prędzej dojść do celu i to można było osiągnąć tylko przez sprowadzenie do Polski jednego z zakonów rycerskich, który osiadłszy w kraju, jako instytucja polska, zdobyłby Prusy dla Polski. Wybór Konrada padł na Zakon niemiecki. Konrad miał w swoim najbliższym otoczeniu niemało wpływowych Niemców; nie ulega wątpliwości, że Niemcy ci wychwalali dzielność swych ziomków wobec Konrada, licząc na wdzięczność i Konrada i Zakonu.

Widokami świetnej przyszłości zachęcony, posłał Konrad, prawdopodobnie jeszcze w r. 1225 posłów do mistrza Hermana de Salza, który wówczas bawił we Włoszech. O pertraktacjach z nim podaje wiadomość przywilej cesarza Fryderyka II, wystawiony w r. 1226 w Rimini.

Konrad, chcąc Zakon niemiecki sprowadzić do siebie, mógł na początku układów, prowadzonych daleko od kraju, tylko w ogólnych zarysach oświadczyć, jakie ma cele i plany i jaką gotów ponieść ofiarę... Chodziło mu o zdobycie Prus, i na ten cel chciał wyposażyć Zakon niemiecki ziemią Chełmińską w pobliżu granic pruskich... Żeby Konrad prosił Krzyżaków o pomoc przeciw Prusakom, którymby niby rady dać nie mógł, o tym w całym dokumencie niema ani śladu; więc nie o obronę Mazowsza chodziło księciu mazowieckiemu, lecz, jak z góry przypuszczaliśmy, o zdobycie Prus — naturalnie dla Polski, bo aby Zakon miał Prusy zdobyć dla siebie lub dla cesarza i rzeszy niemieckiej, w tym Konrad nie miał żadnego interesu i byłby chyba warjatem, gdyby chciał

na takie cele poświęcić całą prowincję. Charakterystycznym jest ów przywilej cesarza Fryderyka II, bez względu na to, czy został podstępem wyjednany od cesarza, lub czy na polecenie wielkiego mistrza Hermana podrobiony w kancelarji cesarskiej; zawsze wynika z niego, że Zakon nieszczerze, nieuczciwie i podstępnie postąpił wobec Konrada...

... Cesarz (w przywileju tym) zatwierdza nietylko przyrzeczenie Konrada co do ziemi Chełmińskiej, lecz uwalnia ją także od wszelkiej służby, dani i zależności, zarazem przyrzeka całe Prusy, które Herman pragnął zdobyć dla Zakonu, dać temuż Zakonowi jako księstwo udzielne z wszelkimi możliwymi prawami i prerogatywami. O tym wszystkim jednak niema ani wzmianki w dwóch pierwszych przywilejach, noszących imię ks. Konrada. Z dokumentu zatym Fryderyka II poznajemy zamiary, które Zakon żywił wobec księcia mazowieckiego...

Skoro Krzyżacy już w r. 1226 przybyli do Polski, nie przeszli odrazu do ziemi Chełmińskiej. Domyślać się możemy, że to się stało dla tego, iż z jednej strony siły ich były jeszcze za małe, aby obsadzić wszystkie grody, z drugiej zaś chodziło im o wyłudzenie nowych darowizn. Przeszedzszy przez Wisłę, byliby już u siebie i musieli troszczyć się o siebie; pozostawszy tymczasem na Kujawach, byli niby gośćmi Konrada, który musiał mieć staranie o nich, przeznaczając im na chwilowy pobyt dobra niezawskie, spore terytorjum, które roku 1235 zniewolony był im odstąpić. W tym celu sfałszowali zapis Nieszawy. I Orłowo pod Inowrocławiem i może niektóre inne dobra, które służyć miały na utrzymanie ich podczas pobytu w księstwie mazowieckim, przywłaszczyli sobie potym na podstawie dokumentów podrobionych.

Wielki mistrz Henryk de Salza, będąc w grudniu 1229 r. u papieża jako poseł cesarski, wspomniał mu pierwszy raz o pozycji Zakonu zajętej nad Wisłą, o darowiznie Konrada,

o celu wydarcia ziemi pruskiej z rąk pogańskich. Nie przedłożył jednak papieżowi ani dokumentów Konrada, ani Krystjana biskupa *), lecz przedstawił mu ustnie rzecz w sposób niezgodny z otrzymanymi przywilejami i zamiarami Konrada; zapewnił bowiem papieża, że Konrad odstąpił Zakonowi ziemię Chełmińską i Prusy zdobyć się mające... Kieruje nim zatym ta sama myśl, która już w r. 1226 zakiełkowała w jego głowie, jak o tym świadczy przywilej cesarza Fryderyka.

W r. 1230 Herman kazał wygotować w kancelarji cesarskiej lub przez jej urzędników przywilej, w którym udzielne i niezależne posiadanie ziemi Chełmińskiej oznaczono tak ściśle, że żadna co do tego zachodzić nie mogła wątpliwość, a że taki dar jednak należało uzasadnić, więc podano w nim jako powód napady Prusaków, którym niby Konrad obronić się nie mógł **), a w innym, również podrobionym dokumencie, kazano później synowi Konradowemu, Kazimierzowi, to poświadczyć.

Temi świadectwami obronił się Zakon wobec potomności nieomal do dni naszych od zarzutu niewdzięczności, a na podstawie ich odegrywał rolę zbawcy Polski, któremu Polacy wdzięczni być powinni za zabraną prowincję, za zniweczone zamiary i nadzieje. Po wykonaniu tego fałszerstwa, wielki mistrz przedstawił jego tekst niby w odpisie — nie miano bowiem pieczęci Konrada — papieżowi Grzegorzowi IX, który w dwóch bullach wystawionych we wrześniu 1230 r. na niego się powołuje. Zabezpieczył sobie zatym Zakon udzielne posiadanie ziemi Chełmińskiej i Prus przywilejami najwyższych władz chrześcijańskich cesarza i papieża, licząc

*) Krystjan zamianowany był przez papieża w 1215 roku biskupem pruskim, od ks. Konrada Mazowieckiego i innych książąt polskich otrzymał liczne nadania w ziemiach.

***) Przywilej ten nosi nazwę kruszwickiego.

na to, że z prawowitym właścicielem i dobroczyńcą da sobie ostatecznie radę.

W bardzo krótkim czasie, przy pomocy książąt polskich i pomorskich oraz pielgrzymów niemieckich, Zakon stał się panem całej ziemi od Drwęcy aż do morza i zatoki fryzyskiej, zakładał zamki wszędzie, gdzie tego było potrzeba, oraz osady niemieckie, na których zamierzał oprzeć swoje panowanie.

Usadowiwszy się silnie w nowo nabytej ziemi, do której przystęp był nietylko przez Polskę, ale także przez Pomorze i od strony Bałtyku, mając za sobą najwyższe potęgi całego świata, cesarza i papieża i popierany przez licznych pielgrzymów, Zakon uważał już swoje stanowisko za tak silne, że rozpoczął szereg intryg, aby dopiąć tego, do czego dążyły przywileje Fryderyka II i sfałszowane na imię Konrada dokumenty, aby sobie zapewnić Prusy, a Konrada pozbawić prowincji, którą odstąpił Krzyżakom, zachowując sobie nad nią władzę zwierzchniczą...

Wielki mistrz korzystał przedewszystkim z życzliwości papieża Grzegorza IX. Wiemy już, że mu przedstawił podrobiony dyplom Konrada, t. zw. Kruszwicki, według którego książę ofiarował Zakonowi ziemię Chełmińską i Prusy na własność. Papież nie podejrzewając Hermana o oszustwo, był tą darowizną bardzo uradowany, bo odnosiła się właśnie do Zakonu, w którym wielkie pokładał nadzieje. Papież sądząc, że tak istotnie było i poinformowany przez Hermana, że Zakon tam niemalym kosztem założył zamki i wsie, że powstrzymał zapędy pogańskie i zawładnął częścią ziemi pruskiej dla Kościoła, postanowił wyświadczyć mu łaskę, której... wielki mistrz łaknął całym sercem, i której myśl sam zapewne podsunął Ojcu św., t. j. postanowił przejąć ziemię dotąd będącą w posiadaniu Krzyżaków na własność Stolicy Apostolskiej i to na wieczne czasy, zarazem zaś odstąpić ją na wieczne i wolne posiadanie Zakonowi.. (Było to w bulli z 1234 r.).

W innej bulli z d. 5 września 1234 r. zwraca się papież już prosto do Konrada, wyrażając mu swoją radość z powodu wspaniałomyślnego zapisu, donosząc mu o swym postanowieniu co do Prus, oraz prosząc, aby i nadal Zakon otaczał swoją opieką. Można sobie wyobrazić, że niemałe było zdziwienie Konrada, gdy się dowiedział w końcu 1234 roku o hojności swojej względem Zakonu, oraz o utracie Prus, dla pozyskania których tyle czynił starań i tyle ponosił ofiar...

Przyszło pomiędzy Konradem a Krzyżakami do zatargów, o charakterze których jednak nic nie wiemy... Skończyły się one jaknajfatalniej dla Konrada, wybrano bowiem rozjemców, którzy mieli doprowadzić do zgody, a wybrano takich, których bezstronność w najwyższym stopniu była wątpliwa.

...Niemał wszystkie dokumenty, jakie Krzyżacy mogli przedłożyć medjatorom celem udowodnienia swych uroszczeń, były sfałszowane lub podrobione; na wszystkich prawie miejscach się imię Michała *) jako świadka, który zatym obeznany z rzeczywistymi, nam już nieznanymi nadaniami Konrada, wiedzieć powinien był, że przedłożone dokumenty nie były autentyczne, przerobione na szkodę księcia a na korzyść Zakonu. Jeżeli zatym Michał nie protestował przeciw fałszywym dowodom Krzyżaków i razem z legatem papieskim tak ciężkie nałożył warunki na Konrada, to tylko przypuścić możemy, że się dał ująć obietnicom Zakonu, że zdradził sprawę swego monarchy za misę soczewicy, bo Krzyżacy przyrzekli mu, że wszystko to kujawskiej djecezji słusznym prawem się należy. Według tej ugody postanowił Zakon oddać zamek dobrzyński z przyległościami, nakładając na księcia różne uciążliwe warunki.

*) Michał, biskup Kujawski, któremu Polska poruczyła godność pośrednika w tej sprawie.

Za to ustępstwo kazali Krzyżacy dobrze sobie zapłacić! Książę nadał wielkiemu mistrzowi i braciom zakonnym znaczny obszar ziemi na posiadanie wieczyste.

Następnie zrezygnował z całego terytorjum chełmińskiego, położonego, według dokumentów przytoczonych przez Zakon, między Drwęcą a Ossą; zobowiązał się nadto zaspokoić wszystkich, którzy utrzymują, że tam mają dziedzictwa, posiadłości lub wsie, i w przeciągu miesiąca załatwić ich pretensje, aby Zakon w przyszłości i z nimi nie miał żadnych zatargów. Prócz tego mieli Krzyżacy otrzymać dwie warzelnie soli w Słońsku, nadto zobowiązał się książę wypłacić Zakonowi w Nieszawie 150 grzywien czystego srebra.

Zapyta może niejeden, czy to jest możliwym, aby tyle fałszerstw działo się w tak krótkim czasie? Już to, co sami uczeni pruscy wykazali, rzuca ciemną plamę na moralność krzyżacką; w ciemniejszych kolorach przedstawia się ona w naszych badaniach, opierających się głównie na źródłach współczesnych, a nie na późniejszych, które jako wychodzące ze sfer krzyżackich, przedstawiają cały przebieg dziejów tak, jak tego interes Zakonu wymagał, to jest na jego korzyść...

Przewrotność niemiecka odegrywa w owych stosunkach rolę przeważną; Polaków zaś ówczesnych charakteryzuje, jak i dzisiejszych, łatwo wierność i ten przesąd, jakoby nasi sąsiedzi wszystko lepiej umieli niż my sami. Zamiast założyć Zakon rycerski z krajowego ziemiaństwa, posługiwano się obcemi, a za hojną opłatę otrzymywano tylko dowody niewdzięczności.

Ale jakim sposobem było to możliwym, aby wystąpiono z fałszywemi dokumentami nieomal w żywe oczy współczesnych ludzi? Rzecz ta da się łatwo wytłumaczyć. Występują wprawdzie już i za Konrada i przed nim kanclerze, ale pomimo to nie było jeszcze żadnej kancelarji książęcej urzędzonej na sposób zachodni. Wystawiano dokumenty, ale

dorywczo; nie zawsze układał je i spisywał ktoś z otoczenia książęcego, najczęściej postarał się o to obdarowany, mianowicie, gdy nim była osoba duchowna lub zakonna. Treść dokumentu była zapewne ogólnikowo tylko znana licznym świadkom, ale książę nie zatrzymywał żadnej kopji, za której pomocą mógłby sprawdzić w danym razie przedłożony później dokument.

Wobec takich stosunków potrzeba było tylko pewnej miary bezczelności, aby przedłożyć osobom pośredniczącym w sporach podrobiony przywilej i wmówić w nie, że ów oryginal w tedy a wtedy wystawiony, jak tego dowodzą pieczęcie — sztucznie przyprawione — albo zatwierdzenie papieskie podstępem uzyskane.

Pierwszy napad Tatarów na Polskę.

Z pracy Karola Szajnochy p. t. „Święta Kinga.” Szkice historyczne, tom I. Warszawa 1876 r.

Od lat kilku krążyły pogłoski o blizkim najściu Mongołów czyli Tatarów, ludu nieznanego dotąd Polsce i Węgrom, przybyłego w niezmiernej liczbie z dalekich kończyn Wschodu i już od lat kilkunastu gnębiącego pogranicza wschodnich księstw ruskich. Pogańska wiara Tatarów, wieści o ich srogości i okrucieństwach, żywość wyobraźni średnio-wiecznej, skłonnej do najjaskrawszych przywidzeń, czyniły spodziewanych najeźdźców w oczach przeleknionego Zachodu widmem niewysłowionej okropności, przedmiotem postrachu najzabobonniejszego.

Od roku do roku zapowiadano napad tej ludożerczej dziczy; lecz ponieważ obawa, na szczęście, długo próżną się okazywała, oswojono się z nią i zaczęto niedowierzać pogłoskom.

Wtym około Bożego Narodzenia 1240 roku gruchnęła pewna wiadomość, że Tatarzy zburzyli Kijów i ciągną ku Rusi Czerwonej. Nim jeszcze dalsze wieści nadbiec zdołały, uderzyła już pierwsza fala Tatarstwa o brzegi polskie. Nadciągające czaty tatarskie, które swoim widokiem zatrwożyły wzrok uciekającego ludu, odznaczały się tąż samą śnia-

— 17 —
dą, szeroką twarzą, tym samym na wierzch wywróconym kożuchem i kołpakiem, temiż dwoma albo trzema łukami o kilku pełnych sajdakach, wreszcie tymże toporem do rozbijania zamków, trokiem do pętania jeńców i nahajką na konia — z jakimi w czasach następnych tak boleśnie oswoiła się wyobraźnia narodu.

Ale podczas gdy późniejsi ordyńcy krymscy byli tylko tłuszczaą pospolitych łupieżców, o ileż odmienniejszymi od nich okazują się Mongołowie najścia pierwszego! Od lat czterdziestu urosło pod ich wojenną ręką olbrzymie państwo, obejmujące od Donu aż po Chiny, od Indji aż do Sybiru, dwakroć tak wielką przestrzeń świata, jak cała Europa chrześcijańska, z wszystkimi jej państwami i państewkami. Urządzone przez mocarza, który obyczajem wszystkich twórców monarchji wschodnich był zarazem wojownikiem, prorokiem i prawodawcą, podniosło kolosalne mocarstwo mongolskie pozioomy dotąd umysł swych założycieli do niezwykłego stopnia dumnej rozbijałości. Lecz ponieważ podniesienie to nastąpiło nagle, po stanie zupełnego barbarzyństwa na duchu i na ciele, więc zrodziła się stąd jedynie chwilowa, pozorna, meteoryczna oświata, uderzająca najdziwaczniejszemi rysami.

Naprzód upoiło Mongołów dotychczasowe szczęście wojenne ślepą wiarą w przeznaczone sobie panowanie nad całym światem. Doznana dotychczas pomyślność wojennego jedynowładztwa, podbiła ich ducha również ślepemu posłuszeństwu dla swoich rządców. Wspólność podejmowanej przez wszystkich członków narodu pracy zdobywczej, wspólność jednego, wielkiego celu, przejęła cały naród uczuciem braterstwa i moralności wzajemnej, skutkiem której, wedle zeznania najprzyjaźniejszych świadków naocznych, każdy Tatar dla Tatarą był zgodnym, rzetelnym, miłosiernym, dalekim od wszelkiej zawiści lub złej woli. Zatoż dumna świadomość

swojej roli zwycięskiej, harde uczucie wielkości dokonanego przez siebie dzieła, założonej przez siebie monarchji świata, wobec której nikt nie mógł się oprzeć. wszelkie państwa chrześcijańskie, napawały surowy umysł Tatarów niesłychaną pychą względem reszty ludzkości. Posuwała się ta pycha aż do najmroźniejszej pogardy, aż do owego igraszkowego usposobienia, w jakim Tatarzy, mając sprawę z tłumem wzgardzonych przez siebie ludów, niemającym wchodzić w żaden stosunek równości i wzajemności z synami Złotej Ordy, mniemali się wolnemi od wszelkich względów ludzkich, upoważnionemi do szydlerczego łamania wszelkich umów i przysiąg, do najdzikszej z zimną krwią okrutności, tak mało zdrożnej w oczach Tatarów, jak srogość względem bezdusznych a szkodliwych żyjątek. I miała piekielna prawdziwie pycha tryumfatorów mongolskich tym większy pozór niejakej słuszności, ile że w tym wojennym zawodzie, którym oni w jedyne z resztą ludzkości wchodzili teraz zetknięcie, czterdziestoletnie bez przerwy boje, wzbogacając Tatarów skarbem doświadczeń wojennych, nadawały im znaczną nad innymi ludami wyższość. Jakoż nie czym innym, nie ogromem swoich istotnych sił, nie tak osobistą odwagą, jak raczej tą wyższością rozumu, wojennym przemysłem swoim, wojenną sztuką biegłych dowódców, zawojowali oni tyle ziem i narodów.

Stąd, jak sama powierzchowność Tatarów, o wcale niezarosłej lub tylko lekkim porostem ocienionej twarzy, o kształtnej budowie ciała, nadobnym wcięciu w pasie, o zręcznych ruchach jeźdźcy i strzelca, nie była w rzeczy samej przedmiotem zgrozy i obrzydzenia, tak też w całym ich rozbójniczym najściu na Zachód, było więcej fanatyzmu niż wyłączonej chęci łupieży, w ich mordach i okrucieństwie więcej igraszkowej pogardy niż krwi żądności, w ich gromach wojennych więcej przemysłu niż samej przewagi zewnętrznej. Wszakże tym stali się Tatarzy najstraszniejszymi uprzedzonym o swej wszechstronnej wyższości chrześcijaństwa, na

którym Orjent za swoje kilkakrotne klęski krzyżowe krwawy teraz wziął odwet. „Wy, mieszkańcy Zachodu — pisał temi czasy Chan Wielki do papieża — mniemacie, jakobyście wy chrześcijanie byli sami na świecie i gardzicie resztą narodów. Jednakże skądżeto wiadomo wam komu Bóg swojej łaski szczególnie udzielił raczy? I my także Boga chwylimy i ramieniem jego zburzymy świat cały, od Wschodu aż do Zachodu. Albowiem powiedziano jest, iżby na niebie był tylko jeden Bóg, a na ziemi tylko jeden Chan.”

Takie hasło wiodło Tatarów nad brzegi Wisły... Jużto trudność znalezienia w lesistych i nieuprządnym onego czasu ziemiach dostatecznej dla ogromnego wojska żywności, choćby łupieżą branej; jużto zamiar uniknięcia wielkich, morderczych bitew, na jakie Tatarzy niechętnie się narażali, nakazywały całemu ogromowi armji mongolskiej, w każdym pochodzie ku głównemu miejscu zebrania, dążyć tam kilku wielkimi szlaki. Każdy z głównych oddziałów rozlewał się w kilka pomniejszych strug, mających podobnie pewien bliższy cel zejścia się razem, do którego przybywszy po спустoszeniu ziemi okolicznej, posuwały się wszystkie znowuż kilku różnostronnemi prądami naprzód, ku głównej mecie wyprawy. W ten sposób cały kraj najechany był pokryty jedną wielką siecią łupieży; obrońcy kraju, nie wiedząc której stronie pierwiej nieść pomoc, tracili wszelką nadzieję powstrzymania zalewu, a jeśli, jak często zdarzało się, któremuś z pomniejszych zagonów tatarskich przytrafiła się klęska dotkliwa, nie wywierało to żadnego wpływu na los całej wyprawy...

Polska była drugim chrześcijańskim, pierwszym zaś krajem katolickim, który padł ofiarą Mongołów... Rycerska ochota do śmiertelnej walki z pogaństwem powitała Tatarów nad Wisłą... Postanowiono bronić im przejścia przez rzekę ku północy od Sandomierza, w stronę Lublina. Tam to Mongołowie wywierali pierwszą wściekłość na mieszkańcach mia-

sta i siół okolicznych... Pod Opolem przyszło do pierwszej bitwy, która nauczyła rycerstwo chrześcijańskie drzeć przed pogaństwem. Obaj książęta pierzchnęli, wojsko rozsypało się. Zwycięscy Mongołowie rozbili się po ziemi sandomierskiej. Zawichost legł w gruzach; stołeczny Sandomierz, wraz z całym tłumem mieszkańców okolicznych szukających bezpieczeństwa za jego murami, stał się pastwą dziczy mongolskiej. Krwawy dzień zdobycia, popielec (13 lutego 1241 r.), zadał mu pierwszą z onych tatarskich klęsk, które powtarzając się w czasach następnych, zrujnowały go całkowicie. Pomiędzy ofiarami bezlitości tatarskiej padli w Sandomierzu także opat i mnisi klasztoru Cystersów wespół z niezliczoną ilością sąsiedniej szlachty, duchowieństwa, niewiast, ludu wiejskiego, gromadnie wymordowaną lub w niewolników wieczystych zamienioną. Wielu jeńców zachowano na to przy życiu, aby wskazywali Tatarom drogę po dalszej Polsce.

Oddziały Tatarów, pod dowództwem samego Batu-Chana, posuwały się coraz dalej, pustosząc w srogi sposób rozmaite krainy po lewym brzegu Wisły. Były to właśnie powiaty najuprawnieniejsze, zakwitające pod wzorowym zarządem kościoła, posiadłości biskupie koło Hży. Bolesne wspomnienie zrzędzonych tam przez Orde klęsk i spustoszeń przeżyło pamięć wszelkich najazdów nieprzyjaciół późniejszych. Przez długie wieki następne zachowała droga pierwszego pochodu tatarskiego groźną nazwę „szlak Batu-Chana.” Jeszcze po dziś dzień opowiada lud tameczny o przejściu płomiennej nawały Tatarów zdążającej ku Krakowowi...

Do nowej bitwy doszło pod Chmielnikiem... Rycerstwo polskie rzuciło się natarczywie na pierwszą ławę nieprzyjacielską i po kilkugodzinnej walce przywiodło ją do ucieczki. Zapamiętała pogoń, zaczęta już przy nadwątlonych siłach, zwabiła niebaczących zwycięzców w szeroko rozpostarte ramiona drugiej ławy tatarskiej, która tak znanym późniejszej dobie historii naszej, a obecnie pierwszy raz w wyrażenie

wchodzącym „tańcem tatarskim” dokoła okrzyki Polaków, przygniatając ich gęstwą strzał, gradem pocisków. Dowódcy, wraz z najprzedniejszym rycerstwem, trupem swoim zacięli pobojuwisko... Niedobitki, przeświadczeni o niepodobieństwie oporu w ziemi krakowskiej, ponieśli swój oręż w dalsze strony Polski, ku zachodowi, na Śląsk, pod rozkaz Henryka Pobożnego. Młody książę Bolesław, wraz z żoną i matką, uchodzić musiał z miasta; za jego przykładem poszła znacznie większa część narodu, lud ubogi rozbiegł się w góry przyległe, w lasy, na trzęsawiska... Tylko mała garstka krakowskich i okolicznych mieszkańców została w opuszczonej stolicy, chroniąc się w warownym kościele św. Andrzeja. W kwietnią niedzielę, 24 marca, stanął Batu-Chan pod wyludnionym Krakowem... Zawiedzeni w nadziei zdobycia łupów, po tygodniowym pobycie i bezskutecznym oblężeniu kościoła św. Andrzeja, Tatarzy spalili Kraków i kilkoma szlakami ruszyli w dalszy pochód, na Śląsk, ku Lignicy, gdzie rozegrać się miała ostateczna walka między światem pogańskim a chrześcijańskim...

Charakterystyka napadów tatarskich i o drugim napadzie Tatarów na Polskę w r. 1259/60.

Z rozprawy prof. Bolesława Ulanowskiego p. t. „Drugi napad Tatarów na Polskę.” Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Umiej. Tom XVIII.

W wieku XIII doznawały dzielnice Piastowskie wielokrotnych napadów i spustoszeń bądź od Litwy i Jadźwingów bądź od Tatarów. Podjazdy litewskie, chociaż wydarzały się prawdopodobnie dość często, częściej niewątpliwie niż znajdujemy ich ślady w szczupłych naszych rocznikach, nie były nigdy tak groźne jak wtargnięcie Tatarów, podejmowane na bardzo szoroką skalę i wyrządzające niezmierne szkody dla i tak niezbyt bogatego, a pod względem ekonomicznym ledwie rozwijającego się kraju.

Z Litwą był polski wojownik oswojony; nie biło mu szybciej serce, gdy wyruszał na walkę z nadniemeńskim gościem, lub gdy ścigał uchodzącego z łupem niemiłego a natrętnego przybysza. Udawało mu się nieraz zdobyć odzyskać, łupieżcę pogromić i wrócić z chwałą do rodzinnej zagrody.

Z Tatarem nauczyło doświadczenie, że wszelki opór na otwartym polu zupełnie był daremny. Miał Henryk Pobożny

niemałe zastępy, walcząc z poganem pod Lignicą, liczniejsze o wiele hufce zgromadził Bela nad rzeką Sajo, chcąc Batu-Chanowi zagrozić drogę na zachód, — obaj przecież zostali zwyciężeni, a głowa pierwszego zatknęta na tatarskiej dziedzie, srogim napełniła przerażeniem z murów broniących się rycerzy chrześcijańskich. Ani król Wacław, ani syn cesarski Konrad, ani austrijski książę Fryderyk nie wazyli się pójść za przykładem Henryka i Beli. Pocieszano się wprawdzie na dworze cesarskim, twierdząc, że niemieckiej to broni obawa skłoniła pogan do odwrotu, ale nikt z współczesnych w takie tłumaczenie rzeczy nie wierzył i wołał w Opatrzności i łasce boskiej upatrywać ocalenia od dalszego rozpostarcia się na zachód kłęsk i mordów tatarskich.

Urok pewien, urok grozy i postrachu otaczał azjatyckich najeźdźców. Wierzono mocno, że wszystko jest im możliwe, że gdy tylko zechcą, dotrą do zachodnich krańców Europy. Wobec strasznego od płomieni i posoki czerwono zabarwionego tła, na którym wyobraźnia ludzka uprzytomniała sobie żywo chwile pobytu Tatarów w kraju rodzinnym, blakły inne przeraźliwe widoki, malały przedmioty dawniejszego postrachu; zapomniano, że obok Tatarów istnieją jeszcze i inni łupieżcy, że gdy najstrasniejsi ustąpią, pozostaną owi bliżsi, nie tak potężni, ale prawie równie dokuczliwi poganie litewscy.

Napady litewskie ograniczały się przeważnie do Mazowsza i ziemi Lubelskiej, stąd egoizm partykularny nie dozwalał przypisywać im właściwej wagi i znaczenia. Mieszkaniec Wielkopolski lub Śląska wiedział dobrze, że nie dosięgną go zagony litewskie, i, zadowolony z własnego bezpieczeństwa, mało się troszczył nieszczęściem Mazowszanina lub poddanych księcia krakowskiego.

Lecz Tatar, choć wszystkiego nie zniszczył, choć stosunkowo mniejszą tylko nawiedził część Polski, mógł wszakże w każdej chwili zapomnienie swe strasznie powetować;

czekano go też wszędzie, drżano przed nim przez lata całe i lat dziesiątki i co chwila nowego straszniejszego od poprzednich spodziewano się wkroczenia.

Na Węgrzech i w Polsce, z bojaźliwą słuchano ciekawością dalekich o przekłętym poganie wieści, lada pogłoska, najmniejszy poszept o ruchach wojsk tatarskich był przedmiotem żywej korespondencji między królami, książętami i papieżami, duchownymi i świeckimi dygnitarzami; wywoływał zabiegi i przygotowania obronne, a zwłaszcza utrzymywał nastrój ogólny w niezwykłym stopniu napięcia i niepokoju. Bela IV nie waha się pisać w liście do papieża, że wydał dwie córki za książąt ruskich, a trzecią za księcia polskiego jedynie w celu otrzymywania rychłych o Tatarach wiadomości, choć bolało go niezmiernie wynikające z nierównych związków małżeńskich poniżenie majestatu królewskiego. Jestto oczywista przesada, niezgodna z istotnym stanem rzeczy, ale dążność odnoszenia wszystkiego do grozy tatarskiej, łączenia z nią wszystkich stosunków i czynności wskazuje dosadnie, że głównym przedmiotem myśli i trosk ówczesnych ludzi byli poganie, że na każdym kroku liczono się z nimi, lub przynajmniej wyzyskiwano powszechne o nich i o grożącym od nich niebezpieczeństwie mniemanie.

Trzeba czytać wszystkie tak liczne i w treść bogate dokumenty węgierskie z tej epoki, aby się przekonać jak często wspominaną w nich bywa nazwa Tatarów. Cała organizacyjna i ekonomiczna praca w najbliższych po najeździe latach kilkudziesięciu, poświęcona jest naprawieniu zrządzonych spustoszeń, zagojeniu zadanych ran; cały szereg przywilejów i aktów królewskich świadczy, jaki brał w pracy tej udział sam Bela. W chwilach powszechnej niedoli, gdy nikt, a tymbardziej król i jego rodzina nie byli pewni życia, gdy żadne miasto, żadna twierdza dostatecznego nie dawały przed wrogiem bezpieczeństwa, najłatwiej występowały na jaw i żywym jaśniały blaskiem dowody wierności

i poświęcenia dla panującego; szczególnie się okazywały cennymi usługi z przelewem krwi oddawane, a całkiem już jest naturalnym, gdy w następstwie król zasłużonych nagradza i dla przykładu i pamięci potomków, każe pisarzowi dokumentu wszystkie czyny bohatera z jaknajwiększą wyszczególnić dokładnością. Niewątpliwie był napad Tatarów z r. 1241 wymierzony głównie przeciwko Węgrom, Polska tylko mimochodem niejako została powodzią mongolską dotknięta i daleko mniejsze od państwa Beli poniosła zniszczenia; odbija się to bardzo dokładnie we współczesnych dokumentach polskich, w których darmobysmy szukali tych tak licznych i ciekawych wzmianek o Tatarach, zdobiących materiał dyplomatyczny węgierski.

Lecz gdy natomiast prawie że niema historjograficznych zapisek węgierskich o napadzie Tatarów, wspominają o tym wypadku wszystkie roczniki polskie, i chociaż nie tak obszernie, jakbyśmy sobie tego życzyli, to zawsze nie trudno wyrozumieć z ich przedstawienia rzeczy, jak silnie odbiła się powszechna klęska na społeczeństwie polskim, jak wielkie i trwałe wywołała na nim wrażenie.

Gdyby Tatarzy po wielkim napadzie z roku 1241 byli powrócili do Azji, zachowałyby się bezwątpienia na wieczne czasy pamięć ich pobytu w Europie, ich spustoszeń i mordów, ale obawa przed nimi wkrótceby ustąpiła, i groźny najeźdźca poszedłby niebawem do rzędu legendarnych postaci, które w dzieciach jedynie strach wzbudzają.

Poganie jednak, nietylko że nie pomyśleli o powrocie do swoich wschodnich siedzib, ale niedwuznaczny okazali zamiar utwierdzenia się w zajętych krajach ruskich, skąd mogli w każdej chwili, z większą daleko niż za pierwszym razem łatwością, wkroczyć bądź do Węgier, bądź do Polski, bądź nawet do Prus i Litwy.

...Nie na wiele przydawały się zachęty papieży, którzy obiecywali uczestnikom wymierzonych przeciwko litewskim lub tatarskim poganom krzyżowych wypraw, te same dobrodziejstwa i odpusty, co udającym się osobiście na obronę grobu Chrystusa. Miała stolica święta szczególniejszy jeszcze powód opiekowania się krajami nad i za Wisłą położonemi, bo tam usadowił się Zakon krzyżacki, mający właśnie za zadanie walkę z pogaństwem i rozszerzanie wiary chrześcijańskiej, a klęskę Zakonu lub całkowite jego zniszczenie uważano w Rzymie jako straszny, trudny na razie do powetowania cios najistotniejszym zadany Kościoła interesom.

Niemniej zależało papieżom na trwałym przyłączeniu książąt ruskich do obrządku rzymskiego, na ściśnieniu węzłów łączących Danię *) ze stolicą świętą i zachodnią cywilizacją, na utrzymaniu Mendoga **) przy wierze chrześcijańskiej, a to wszystko groziło niechybnym upadkiem i rozprężeniem, gdyby się interwencja Kościoła nie okazała skuteczną w obronie od Tatarów, nie przekonała świeżo nawróconych, że w Rzymie spoczywa niechybne od wszystkich niebezpieczeństw ocalenie, że stamtąd przychodzi w każdym wypadku skuteczna pomoc.

Już w r. 1253 pisał Daniło do Inocentego IV, że Tatarzy gotują się, za powtórny wkroczeniem, zniszczyć do reszty to, co ocalało od poprzednich spustoszeń. Od ruskiego króla pochodząca wiadomość nie mogła się wydawać podejrzaną, wywołała też niemałe w Rzymie wrażenie i nakłoniła papieża do energiczniejszego wystąpienia.

14 maja 1253 r. rozesłane zostały liczne egzemplarze bulli papieskiej do duchowieństwa Czeskiego i Morawskiego, do biskupów pomorskich, polskich i ruskich. W niezwykle podniosłych choć trzeźwych zarazem i prostych wyrazach

*) Daniło, książę ruski.

**) Mendog, książę litewski.

wyłuszcza papież swoje zapatrywanie na środki, jakich należy się chwycić, by zabezpieczyć się od grożącej klęski, i równocześnie donosi, że polecił opatowi z Mezano, by głosił krzyżową przeciwko Tatarom wyprawę.

Bardzo słusznie upominał papież, aby nie usypiano się złudnym bezpieczeństwem, dokąd znajdują się poganie u wrót chrześcijaństwa, aby zawczasu podjęto obronne przygotowania.

Wymowne słowa Innocentego IV pozostały jednak bez ważniejszego skutku, a ponieważ zawarte w liście Daniły wieści na razie się nie sprawdziły, nie wzięła poruszona przez papieża sprawa właściwego obrotu. W roku następnym rozeszła się znowu pogłoska i odbiła się echem aż w Rzymie, że Tatarzy zamierzają nawiedzić Inflanty, Estonję i Prusy, a Innocenty nakazuje tamtejszemu duchowieństwu zająć się natychmiast zaciąganiem wiernych pod znamię krzyża. W najbliższych potym latach zajęli uwagę tak papieża jak Zakonu i książąt polskich inni poganie, przeciwko którym wypadło przedewszystkiem energiczną skierować działalność. Mamy na myśli Litwinów, Prusaków i Jadzwingów, podjętą przeciwko nim wyprawę Ottokara Czeskiego, następne wkroczenie ich do posiadłości Zakonu, współdziałanie minoryty Bartłomieja z Czech w przygotowaniu nowej krucjaty, do której należeć miał i Kazimierz Łęczycki, erekcja osobnego biskupstwa w Łukowie, rozliczne układy papieskie to z Zakonem to z książętami polskimi przedsiębrane zawsze ze względu na sąsiednich pogan, wszystko czynności, pośredni tylko mające związek ze wskazówkami podanemi przez Innocentego IV w bulli z 14 maja 1253 r.

Bo też inny już mąż zasiadał na stolicy Piotrowej. Aleksandrowi IV nie brakło na dobrych chęciach, ale nie rozumiał on położenia na wschodzie Europy tak dobrze jak jego poprzednik i zamiast bez przerwy przedstawiać książętom polskim i Zakonowi, a w dalszej linii królom czeskiemu i węgierskiemu, że głównym polem wspólnego działania jest

przygotowanie się do odparcia przyszłego najazdu Tatarów, on tak długo zwlekał z rozwinięciem stanowczej w tym kierunku akcji, że Tatarzy zdążyli rok po roku, raz na Litwę, raz na Polskę, straszego dokonać najścia, najmniejszego nigdzie nie znajdując oporu.

Dziwnego też doznajemy uczucia czytając bullę z 15 lipca 1258 roku, w której nakazuje Aleksander IV Minorytom i Dominikanom, głoszącym krucjatę przeciw Tatarom, nie czynić tego z ujmą i na szkodę podobnej na rzecz Prus i Inflant przygotowywanej wyprawy, gdy się zwłaszcza równocześnie zważy, że bulla ta dostała się na miejsce przeznaczenia w chwili, gdy Tatarzy grasowali na Litwie, lub gdy zbliżanie się ich nie ulegało najmniejszej już wątpliwości.

Dopóki wodzem znajdujących się na Rusi Tatarów był Kuremsa, dotąd, nietylko że o nowym napadzie nie było mowy, ale nawet utrzymywali się książęta ruscy w pewnej od pogan niezależności. Ze zmianą wodza, uległa postać rzeczy całemu przeobrażeniu. Buronda potrzebował śmiałości czynami przywrócić przygasły urok Tatarów, musiał odnowieniem dawnych spustoszeń i rzezi usprawiedliwić zaufanie, jakie mu okazał chan Berke, zyskać sobie bezwzględna wierność i oddanie swych hufców, dostarczając im sposobności wzbogacenia się obfitymi łupami. Nie tracił też czasu, i z niemłą trwogą ujrzał Daniło pewnego dnia przed sobą posłów Burondy z takim posłaniem: „Wyruszam na Litwę, jeżeli jesteś mi sprzymierzeńcem, pójdz ze mną.” Daniła zastąpił przy Burondzie brat jego Wasylko, i Tatarzy ruszyli na Litwę i Jadźwągów.

To stało się w końcu r. 1258; w pierwszych miesiącach roku następnego był Buronda już z powrotem na Rusi. Daniło znowu starannie unikał spotkania się z wodzem Tatarów, i tylko Wasylko z synowcem swoim Lwem Daniłowiczem stawili się na wezwanie Burondy w obozie tatarskim.

Jak srogie znosili książęta ruscy upokorzenia, jak bezwzględnie musieli zaznaczyć swoją uległość wobec dzikiego zwycięscy, malowniczo opisuje kronika wołyńska. Tylko wybiegiem zdołał Wasylko uchronić jeden z Daniłowych grodów od zupełnego zniszczenia, wybiegiem, który gdyby został wykryty, drogoby mu przyszło opłacić.

Daniło dowiedziawszy się, że nieobecność jego w wielkie Burondę wprawiła rozjątrzenie, uszedł do Polski, a i tu, nie czując się dość bezpiecznym, rychło przeniósł się do Węgier.

Już zbliżała się szybkim krokiem zima, w tym roku niezwykle łagodna, listopad już się kończył, gdy syty dowódów posłuszeństwa książąt ruskich, zapowiedział Buronda swym wojskom, że zawiedzie ich do kraju, w którym starsi szyków jego wojownicy zakosztowali już chleba i krwi polskiej. Zapowiedział wszechwładny wódz i Wasylce i Lwowi, że mają mu towarzyszyć, jako wierni sprzymierzeńcy, jako współuczestnicy przyszłej wyprawy.

Ziemia Lubelska stała otworem, Lublin pierwszym celem był pogan. Smutno zwiastował się Święty Andrzej niešťęsnym mieszkańcom. Zamiast ze skupionym nabożeństwem obchodzić ostatnie tygodnie przed Narodzeniem Pańskim, zamiast w dobrze zasłużonym odpoczynku zimowym zaczerpnąć nowych sił do wiosennej roku przyszłego pracy, trzeba było chronić się po borach i bagnach, z jednej do drugiej kryjówki uciekać przed chyżo ścigającym Tatarem.

Z Lublina podążyli poganie do Zawichostu, skąd prawdopodobnie, zatrwożone pierwszą wieścią o ich zbliżaniu się, uciekły niedawno osadzone tam mniszki reguły św. Klary, liczące w swym gronie księżęcą siostrę Salomeę. Wisła mimo pory zimowej nie była pokryta lodem, co przy zmienym u nas klimacie nie należy do rzadkości, i poganie mogli, wynalazszy sobie bród, przebyć ją z łatwością na przyzwyczajonych do podobnych przepraw rumakach.

Małopolska miała niebawem przedstawiać przerażający

od zgliszcza i zniszczenia widok. O stawieniu oporu, o walce nikt nie myślał, nie żeby brakło mężnych między książętami polskimi, nie żeby polskie szyki bojowe dzielnością się nie odznaczały, ale cóż mogła kilku lub w najlepszym razie kilkunastotysięczna garstka przeciw kilkakrotnie liczniejszym Tatarom? Nie trzeba przedewszystkim winić z tego powodu ani Bolesława Wstydlwego, ani księcia Wielkopolskiego. Jeżeli kto, to oni przedstawiali dodatni żywioł wśród ówczesnych Piastów. Ich związek i przymierze, skierowane przeciw każdemu naruszającemu wewnętrzny spokój, jedyną dawał gwarancję, że drobni książęta nie strawią swych sił we wzajemnych bezskutecznych zapasach. Nie trzeba wierzyć, że przed samym wkroczeniem pogan ukończona wyprawa na ziemię Łęczycką uniemożliwiła podjęcie walki z najeźdźcą. Nie jest również prawdopodobnym, aby wezwanie Kazimierza Kujawskiego do ściągnięcia grozy tatarskiej się przyczyniło. Gdy nie przyszła do skutku koalicja ogólna, gdy nie miały pod godłem krzyża wspólnie z poganem walczyć i czeskie, i węgierskie, i zakonne, i wszystkich książąt polskich zastępy, to nic zgoła innego nie pozostało księciu krakowskiemu do czynienia, jak cierpliwie przeczekać nawałę, chroniąc, o ile możności, cenniejsze od dóbr życia swych poddanych przed niechybną, w razie zmierzania się na otwartym polu, zagładą.

Było w Małopolsce jeszcze podostatkiem gęsto zarosłych lasów i ciemnych dąbrów, ale bezpieczniejsze niż w gęstwinach schronienie znajdowała ludność w grodach książęcych lub warownych klasztorach, w których z za okopów i palisad skutecznie można było odeprzeć pokuszenia wroga. Jedynym hasłem wobec zbliżającego się Tatara było nawoływanie do śpiesznej ucieczki, innego i książę nie mógł dać przykładu, jak zamknięcie się w silnym grodzie, lub schronienie się do wolnego od napastników kraju. Zdaje się, że Bolesław w Sieradzu postanowił przeczekać, rychło li

poganie przystąpią do odwrotu, w Sieradzu, który od kilku prawdopodobnie miesięcy nie do Kazimierza, ale do syna jego Leszka należał. Z Sieradza zresztą było już bardzo blisko do Wielkopolski, dokąd zamierzał niewątpliwie Bolesław się udać w razie dalszego posuwania się pogan.

Nie był tu obecny napad Tatarów żadną dla księcia Krakowskiego niespodzianką. Jeszcze w r. 1258 doszła go smutna wieść z Rusi, że lada chwila powinien się spodziewać przybycia pogan, i odtąd głównym jego staraniem było wzmacnianie grodów, zwłaszcza w Krakowie i Sandomierzu, aby bezbronnej ludności odpowiednio przygotować schronienie. Można też przyjąć z pewnością, że uczyniono w Małopolsce wszystko, co tylko dla biernej obrony było niezbędnym; jeżeli zaś skutek nie wszędzie odpowiedział przedsięwziętym przygotowaniom, to winę tego nie można przypisywać na żaden sposób księciu Krakowskiemu. Koło Zawichostu podzielili się Tatarzy na dwa główne oddziały. Jeden miał pozostać pod Sandomierzem, aby zdobyć miasto i gród; drugiego przeznaczeniem było splądrowanie kraju w kierunku północnym, a zwłaszcza złupienie gęsto po Małopolsce rozsianych, a w dobra ziemskie hojnie zaopatrzonych klasztorów. Książęta ruscy mieli wejść w skład oddziału oblegającego Sandomierz.

Powtórzyły się sceny, które z czasów pierwszego napadu Tatarów tak żywo przedstawia kanonik Waradyński, Roger. Na wielką skalę urządzone polowanie na ludzką zwierzynę, przy którym myśliwi z nieustającą gorliwością śledzą i wynajdują ukrytego gdzie w nieprzystępnym naporze pustkowiu, drżącego zbiega; a jedna już chyba śmierć zdolna jeńca z ich srogich rąk wyswobodzić. W zapale nie oszczędzają oni ani domostw, ani chudoby, czego nie mogą zabrać, palą i niszczą. To też zdaleka już oznajmiły jaskrawe łuny, zdaleka obwieściły krzyki pędzonych, jak stado owiec, mieszkańców pobliskich wiosek, drżącym z przerażenia

Cystersom Wąchockim, że dni ich już policzone, że w gorącej jedynie modlitwie czerpać powinni siły do mężnego spotkania się z poganem. Jedna jeszcze chwila, a korytarz klasztoru napełni rozpasana tłuszcza, zaleje kościół, dobierze się do śpichrzów i stodół, roztworzy siłą obory, a zaspokoivszy głód i pragnienie, poszuka po najciemniejszych zakątkach ukrytych mnichów, i wywarszy na bezbronnych bezprzykładną swą srogość, podpali siedzibę sług bożych i niczym niezaspokojoną żądzą mordów pośpieszy przenieść na inną znowu widownię.

Zaledwie rozeszła się żalosna wieść o smutnym losie Wąchocka, gdy ujrzał Sulejów pod swemi murami Tatarów. Przybywali oni, szerząc zniszczenie w dalekich zagonach, i zdawało się, że niebawem przedstawiać będą i Łęczycka i Kujawska ziemia podobny, co Małopolska, widok. Przewidywanie na szczęście zawiodło, od Sulejowa zwróciła się dziec tatarska na południe, by połączyć się z nadciągającymi z pod Sandomierza hufcami. Nie darmo dał książę Krakowski pilną bacność obwarowaniu Sandomierskiego grodu, poganie bowiem postanowili ważny ten punkt obronny koniecznie zdobyć i z wielką zaczęli go oblegać usilnością. Sami w ten rodzaj wojowania niewprawni, korzystali z doświadczenia ruskich posiłkowych zastępów, zadawałając się na razie zasypywaniem chmurą strzał pojawiających się na wale obleżonych. W Sandomierzu był nietylko gród warownym, i miasto otaczała długa linja obronna, którą oblegający wróg obwiódł ze swojej strony dłuższym jeszcze zagrodzeniem, czy ostrokołem, aby mieć samemu ochronę od pocisków Sandomierzan.

Po tych przedwstępnych przygotowaniach, które wymagały conajmniej kilka, a może i kilkanaście dni pracy, zaczęły czynnymi być tarany. Przez cztery doby tłukły wojenne maszyny bez przerwy dniami i nocą w obwarowania Sandomierskie; nikt zza nich wyglądnać nie mógł dla gęsto

spiających się ustawicznie strzał tatarskich; o naprawie wyłomów nie mogło być mowy. Czwartego dnia zaczęli już oblegający gotować się do szturm i przystawiać drabiny. Dwóch Tatarów wdarło się na nich z chorągwią do miasta i poczęli spłoszoną i od strachu nieprzytomną ludność sieć i kłuć na wszystkie strony. Rozpaczą zdjęty jakiś ledwo uzbrojony chudopacholek uderzył na jednego z napastników i trupem go położył, sam jednak, przez zabiegającego mu z tyłu Tatara, został przebitym. Wkrótce ujrzano pogan w większej ilości za miejskimi zagrodzeniami, a ludność przerażona ich obecnością w mieście, w dzikim popłochu zaczęła cisnąć się do grodu. Głęboki rów oddzielał zamek Sandomierski od miasta, wązki zwodzony most prowadził do jedynego doń wnijscia. W ślepym przerażeniu tłoczyć się poczęli Sandomierzanie przez ów mostek, a nie mogąc się na nim pomieścić, jak snopy padali zeń do rowu, po brzegi go wypełniając.

Do tego przyłączył się pożar drewnianego dachu kościoła i słomą pokrytych namiotów, nadając rozpaczliwemu położeniu jeszcze większą z powodu buchających płomieni grozę. Była to chwila straszliwa, zdawało się, że nastał koniec świata, i ludność i załoga zupełnie straciły głowę. Można się jeszcze było bronić z grodu, ale wielki napływ ludzi kazał obawiać się rychłego wyczerpania żywności, a ogólne zwątpienie osłabiało zapał i chęć do dalszego oporu. Wówczas to chytrą przesłali książęta ruscy Sandomierzanom radę, aby się poddali, a zwycięzca, oceniając ich uległość, puścił ich wolno z życiem.

Usłuchali podstępnych słów nieszczęśni obleżeni i natychmiast zaczęli się przygotowywać do opuszczenia grodu. Choć uspokajająco brzmiały obietnice Wasylki i Lwa, choć i Tatarzy zobowiązali się je uszanować, nikt z Sandomierzan nie wierzył bezwzględnie w zmiłowanie pogan. Gdy nad-

miar nieszczęścia przywali kogo swym ogromem, a wszelka nadzieja jest już zwątpiałemu sercu nieprzystępną, to nabywa się często tak silnego na wszystko zobojętnienia, że jedna tylko myśl w mózgu nurtuje, jedna jeszcze troska zajmuje nieskończenie znużony umysł: doczekać się czym prędzej rozstrzygnięcia, przyspieszyć go choćby z narażeniem się na gorsze jeszcze niebezpieczeństwo, rozsądek ustępuje przed głosem niepewnego jakiegoś przecucia, które, idącego za nim, najczęściej zawiedzie.

Sandomierzanie postanowili pod wpływem rozpacz, jak ich ogarnęła, wyjść bez broni z po za swych obwarowań, oddać się na łaskę, lub niełaskę zwycięzcy. Wzruszający widok przedstawiał ciasny obręb grodu, gdy rozpoczęły się przygotowania do niezwykłego, iście pogrzebowego pochodu. Wszyscy kapłani, wszyscy mnisi, przystąpili do spełniania duchownych swych obowiązków. Każdy chciał przed stanowczym krokiem pogodzić się z własnym sumieniem i bliźnim, pragnął przyjąć ciało i krew Pańską, może po raz ostatni. Ludzie wszelkiego stanu i wieku, mężczyźni i kobiety, zrównani wszyscy wobec stanowczego poddania się cisną się do kościoła wypowiadać się z grzechów i kapłańskie otrzymać odpuszczenie. Ledwie starczyło duchowieństwa, by wszystkich zadowolnić. Wydobyto krzyże, świąteczne przywdziano szaty i pochód wyruszył z grodu wśród ogólnego płaczu i przejmujących jęków. Dzieci na rękach służebnych poprzedzały rodziców, w celu ulagodzenia widokiem swej bezbronności srogich serc tatarskich. Chwila oczekiwania nie była długa, choć czekającym wydała się wiecznością. Tatarzy rzucili się jak wściekłe wilki na nieszczęśliwych. Dwa dni wyczekiwali skazani pod gołym niebem spełnienia wyroku, nikt z nich nie doczekał się końca trzeciego.

I ogołoczone z obrońców obwarowania grodu i wspinała z białego ciosowego kamienia na cześć Przenajświęt-

szej Panny zbudowana świątynia uległa zniszczeniu. Ostatni ten akt krwawego dramatu rozegrał się 2 lutego 1260 r...

Zniszczywszy gród Sandomierski, mógł pierwszy oddział Tatarów bezpiecznie posunąć się na zachód. Mniejsza jego część wraz z posiłkiem ruskim ruszyła ku Łysej Górze i obległa warowny klasztor Benedyktynów. Obleżenie zakończyło się równie krwawym epilogiem jak pod Sandomierzem. Tarany zniszczyły wkrótce niezbyt silne obwarowanie Łysogórskie, Tatarzy stali się panami grodu. Ludność w pień wycięto, piękny kościół kamienny uległ zniszczeniu...

Druga część armii obleżniczej wprost z pod Sandomierza uderzyła na pobliski klasztor Cystersów w Koprzywnicy. Wymordowawszy mnichów i braciszków, złupiwszy do szczętu dostatki, wydali Tatarzy odchodząc, i klasztor, i przyległe wioski na pastwę płomieni. Nie lepiej obeszli się poganie z Jędrzejowem, z dawną Bożogrobców siedzibą w Miechowie, zbliżając się szybkim krokiem ku Krakowowi. Gród Krakowski był na szczęście z wielką obwarowany starannością. Nie mając zresztą ze sobą doświadczonych w obleganiu twierdz Rusinów, nie pokusili się nawet Tatarzy przystąpić do szturmów Krakowskiego grodu. Za to ucierpiało miasto niezmiernie od ich srogości. Wzniesione przez nich pożary zniszczyły wiele kościołów i zabudowań miejskich, znaczna część mieszkańców poszła zakosztować niewoli tatarskiej.

Pod Krakowem zastał już Buronda drugi oddział Tatarów... Droga, którą przybywał z północy, z obu stron widoczną była od zgliszcz i spustoszeń. Z pod Krakowa zapuścili się poganie aż po za granice Małopolski, rozprze-strzeniając swe zagony aż w podgórze karpackie. Po kilkumiesięcznym pobycie przystąpił nareszcie straszny gość ze zwykłą sobie szybkością do odwrotu, wiele bardzo uprowadzając ze sobą łupu, daleko więcej jeszcze dokonawszy zniszczenia na miejscu.

Obraz stosunków polskich w w. XIII-ym, w epoce podziału na dzielnice książęce.

Z dzieła Karola Szajnochy p. t. „Odrodzenie się Polski za Władysława Łokietka.” Kraków 1887 r.

Po wielkości czasów Bolesławowych, po bojach i podbojach Chrobrego, Śmiałego, Krzywoustego, nastąpiły czasy przesilenia, upadku. W miejsce przemożnego wpływu, jaki Bolesławowie na wszystkie sąsiednie narody wywierali, teraz też same narody naodwrot uciemieżyły Polskę; — w miejsce potężnej jedności, w jakiej Bolesławowie dzierżyli nowospojone części swojego państwa, zawrzała teraz waśń śmiertelna między temiż częstkami. Zewnętrzne i wewnętrzne nieszczęścia rozsrożyły się na Polskę, i ledwie o zupełną zgubę jej nie przywiódły... Władza książęca zhańbiona została traktatem Bolesława Kędzierzawego z cesarzem Fryderykiem Rudobrodym w Krzyszkowie, gdzie nieszczęśliwy syn Krzywoustego musiał boso, z zawieszonym u szyi mieczem upokorzyć się zwycięskiemu cesarzowi, uznać go swoim zwierzchnikiem, okupić się danią bogatą. Zmaza ta nie została niczym jeszcze zatartą, owszem, cesarze rzymscy uważali Polskę gotowym zawsze łupem swoich światowładnych

uroszczeń, a przy takim zagrożeniu politycznego samowładztwa narodu, poszły istotnie najpiękniejsze części jego terytorjalnego ciała w zaturę, odpadły najbogatsze prowincje, ścięniły się o połowę granice państwa. Dawną Bolesławowską Słowaczną, między Karpatami a Dunajem, odcięły Tatry od Polski; tyłą krwi i trudów Krzywoustego wywalczone Pomorze odszczepiło się od Polski, i ulegszy w zachodniej połowie przewadze Niemców, zachowało w połowie wschodniej pod własnymi książętami, niegdyś wielkorządcami polskimi, wątpliwą niepodległość. Od wieków z Polską złączone grody czerwieńskie, Przemyśl i Halicz, zamieniły kilkakrotnie przywracany związek z praoczystą Polską, na pozorną niezawisłość pod tarczą wareskich kniaziów w Kijowie i tatarskich murzów Kapczaku. Nakoniec Śląsk pod samemiż Piastami, zwaśnionemi jednak z młodszą bracią w innych dziedzinach praojca Bolesława Krzywoustego, zrywał swoją przyrodzoną jedność z całością Polski, bratając się zdradnie ze zniemczaleni Czechami i z samąż rzeszą niemiecką.

Tworzyły więc wszelką całość ówczesnej Polski: małopolski Kraków z Sandomierzem, Wielkopolska, Mazowsze z Kujawami i wpół zniemczony Śląsk. Wszakże i ta szczupła przestrzeń rozdrobiła się jeszcze w cały archipelag księstw małych. Jeden Kraków z Sandomierzem stanowił pod Bolesławem Wstydlwym cokolwiek większe ciało, mające być zwierzchnim, centralnym ogniskiem tego systemu gwiazdowego.

W Wielkopolsce panowali dwaj bracia, Przemysław w Poznaniu, Bolesław Pobożny w Kaliszu i Gnieźnie. Mazowszem władał Ziemowit, ojciec dwóch synów: Bolesława i Konrada, wyglądających tylko chwili dalszego podziału ojczystej schedy w dwa mniejsze księstwa, Płockie i Czerskie. Kujawy dzierżył brat mazowieckiego Ziemowita, Kazimierz, obdarzony najliczniejszym potomstwem, bo pięcioma synami, z których Leszek Czarny miał sobie przeznaczony w dziale

Sieradz, Ziemomysł Inowrocław, Władysław Łokietek Brześć kujawski, Ziemowit Dobrzyń, Kazimierz Łęczycę. Wreszcie Śląskiem obdzielili się synowie poległego pod Liguicą Henryka Pobożnego w ten sposób, iż książę Henryk objął Wrocław, Bolesław Łysy Lignicę, a Konrad Głogów. Z pomiędzy pięciu ich synów najznakomitszymi są: Bolesławów syn, Bolko Świdnicki i Konradów Henryk, książę Głogowski.

Tak około zwichnionego centrum Krakowa grupowało się przeszło dwanaście oderwanych lub bliskich oderwania jednostek politycznych — dwanaście brył i bryłek dawnego słońca Bolesławowskiego. Rozdrobienie to odjęło mu wszelki blask na zewnątrz, wszelki zapał ojczyściej chwały na wewnątrz. Zostało tylko olbrzymie popielisko, tłące tysiącem iskier niechęci, domowych swarów, wzajemnych pomiędzy tyłką książętami zdrad i podstępów, wiarołomnych spisków z wrogami sąsiady na zgubę własnych braci, całej ojczyzny. A komu nie dość na tym zagranicznym przyćmieniu i na tym domowym rozstroju Polski, ten niechaj sobie obraz jej ówczesnego upadku dopełni jeszcze jednym rysem okropnym — rysem strasznego zniszczenia kraju świeżym nawałem dzicy tatarskiej. Jakby gniew boży rozpalone żelazo przesunął po zielonym obszarze Polski, leżały naprzód wybrzeża wiślańskie od Sandomierza po Kraków, dalej ziemie łęczyckie, sieradzkie, kujawskie, wreszcie Śląsk cały, spustoszone pożogą tatarską. Kurzące się po niej grody, stosy gnijących pod gołym niebem trupów, wyludnione sioła, których mieszkańcy w dalekim poszli jęczeć jasyrze — okazywały się najwidoczniejszymi znamionami obecnego upadku Polski...

Osobliwszą cechą podobnych chwil chaotycznych bywa zupełne rozprzężenie się nie tylko ładu społecznego, lecz nawet wewnętrznej harmonji duszy ludzkiej. Sama natura ludzka zdaje się tracić swą przyrodzoną miarę i rozchwiewa się w ostateczności w jaskrawe przeciwieństwa. W jednym

i tym samym czasie, pozbawionym w większej części prawdziwie potężnych, umiarkowanych charakterów, dają się widzieć uosobienia najdzikszej gwałtowności i najmniejszego, najświętobliwszego niedołęstwa. Całe pokolenie dezorganizuje się w rozpustników i mnichów, katów i świętych. Żadna pora dziejów naszych nie miała tak tłumnego zbiorowiska pierwszych, ani tak licznej i promienistej konstelacji drugich, jak ta pora obecna.

W rzędzie pierwszych występuje książę mazowiecki Konrad, stryj Bolesława Wstydlivego, zabójca własnego kanclerza, ks. Czapli, którego raz po mękach w więzieniu powiesiwszy, z grobu wywleczonemu, powtórnie zawiesić kazał na palu. Później stał on się mordercą własnego wojewody, Krystyna, głównego obrońcy Mazowsza od Prusaków; toczył kilkakrotnie wojnę z własnym synowcem, Bolesławem, prześladował braci, uciemięzał poddanych, ściągał na siebie klątwy duchowne. Syn jego, Mieczysław, dziedzic Kujaw, uchodził za jawnego łupieżcę wdów i sierot... Tegoż brat i następca, Kazimierz, ojciec Leszka Czarnego i Władysława Łokietka, „zaborcą cudzej własności” w kronikach zwany, wojował ustawicznie ze swoją rodziną, aż wreszcie własni synowie Leszek i Ziemomysł, sądząc się zagrożonemu otruciem przez macochę, podnieśli bunt przeciw ojcu, i za przyzwoleniem ziemian znękanym chciwością i okrucieństwem Kazimierza, złupili ojca z Sieradza i Łęczycy. Jednakże te zabójstwa, te zdradzieństwa, te wojny braci z braćmi, a nawet synów z ojcem, to zepsucie książąt środkowej Polski było niczym w porównaniu z wyrodzeniem się Piastów śląskich, zarażonych, spotworzonych niemiecczyzną. Wstręt, jaki oni u poddanych swoich wzbudzali, posuwał się tak daleko, że nieraz po kilku synów jednego ojca, jak np. trzech synów zabitego pod Lignicą Henryka Pobożnego, marło kolejno zadana sobie od nieprzyjaciół trucizną. Wszakże najnikczem-

niejszym z nich był właśnie ten, co ocalał, brat najstarszy, Bolesław Rogaty na Lignicy. Zabójcy braci byli jego serdecznymi sprzymierzeńcami, Niemcy najmilszym towarzystwem i wierną przy wszelkich łotrowskich sprawkach pomocą. Z niemi to ciągle na braci i grody sąsiednie napadając, zapomniał on wcale po polsku, strwonił ostatni szeląg ojcowski...

Obok takich potworów świecą wzory najwybredniejszej bogobojności. Liczny ich szereg rozpoczynają książęta, już samym przydomkiem „Pobożnych” dostatecznie w swoim religijnym charakterze uznani. Takimi są: Henryk Pobożny, rycerz i męczennik z pod Lignicy, Bolesław Pobożny, książę kaliski, Bolesław Wstydlivy i t. p. Henryk Brodaty, Wrocławski, wyrzekł się noszenia na sobie złota, bogatych strojów, klejnotów, chodził w płóciennej odzieży, a brodę zapuścił. Przemysław Wielkopolski zrzekł się na długi czas dwóch walnych rozkoszy staropolskich — łaźni i miodu, odprawiał pilnie godzinki do Najświętszej Panny, o północy ze snu do psalterza siadał ze świecą, przez cały wielki post szorstką włosiennicę nosił pod suknią, w Wielki piątek ubogim nogi umywał i całował, a duchowne osoby każdego święta raczył uctami. Niewiasty posuwały tę pobożność do nierównie wyższego jeszcze stopnia, bo do rzeczywistości, kanonicznej świętości. I tak trzy współcześnie żyjące księżniczki polskie: Jadwiga, żona Henryka Brodatego, Salomea, córka Leszka Białego i Kinga, żona Bolesława Wstydliwego, były świętymi; dwie: Grzymisława, żona Leszka Białego i Helena czyli Jolanta, księżna kaliska, zostały ubłogosławione... Najgłośniej ze wszystkich słynęła swoją bogobojnością św. Jadwiga. Była to niewiasta nadmiar surowa, która przez 30 ostatnich lat małżeństwa żyjąc na pokucie w klasztorze Trzebnickim, nie dała się nawet prośbami umierającego małżonka nakłonić do opuszczenia swej celi dla ostatniego z nim pożegnania, dla wyjścia naprzeciw jego

zwłokom do Trzebnickiego klasztoru sprowadzonym. Na wiadomość zaś o śmierci swego syna, Henryka Pobożnego, pod Lignicą, cierpką przyganą lament jego żony skarciwszy, w takie się za natchnieniem rezygnacji chrześcijańskiej ozwała słowa, jakie niegdyś niewiasty spartańskie zawdzięczały dumie patriotycznej: „Chwała Ci bądź, Panie, na wysokości, żeś łonu mojemu dozwolił wydać syna, który mi zawsze cześć, miłość i posłuszeństwo zachował, a teraz swoją dla ciebie i wiary Twojej przelaną krwią sprawił największą radość, największą chwałę.”

Bunt wójta krakowskiego Alberta z roku 1311.

Z rozprawy Michała Bobrzyńskiego p. t. „Bunt wójta krakowskiego Alberta z r. 1311.” Biblioteka Warszawska 1877 r.

Trudnemi były dla Łokietka rządy. Łączenie i utrzymanie dzielnic, przyzwyczajonych do chodzenia samopas, nieustanne najazdy wschodniej dziczy, pretensje Czech i Niemiec, budząca się nakoniec z zakonem krzyżackim śmiertelna walka, wymagały nieustannych wysiłków i ofiar od kraju, który dopiero tak ciężkie przesilenie przebył, wymagały skupienia wszystkich sił i zasobów, jakimi mógł rozporządzać. A jednak wskutek przywilejów udzielonych niemieckim osadom, część społeczeństwa najzamożniejsza, korzystając z opieki państwa, usuwała się uporczywie od jego wspierania i zwałała ciężary publiczne na ludność polską, na szlacheńską i chłopów. Ludność ta dźwigała podwójny ciężar patriotycznie, lecz rozpaczliwie. Rola była jedynym jej utrzymaniem, ale hasło wojenne i nagi miecz przebiegający po wsiach na znak pospolitego ruszenia, nieustannie od pługa odwoływały. Nędza zaglądała pod strzechy, a tu pod bokiem kwitnęły miasta, zamykając się w świeżo odbudowanych i wzmocnionych murach, rozpierały się opactwa i zamki klasztorów. Zrodziła się straszliwa zawiść społeczna,

zaostrzona różnością pochodzenia i mowy, zaczęły rabunki przejeżdżających kupców i najazdy kościelnych włości, którym skołatany książę żadną miarą nie mógł położyć tamy. Nieraz może i książę w ostatecznym niebezpieczeństwie żądał posiłków, a spotkawszy odmowę przywilejami jurystycznie uzasadnioną, w krewkości swojej utracił resztę cierpliwości, nałożył cło, lub zbrojne zastępy na jednej lub drugiej posiadłości kościelnej rozmieścił. Naprężyła się struna, aż raz pęknąć musiała z łoskotem.

Dziwnym zaślepieniem, niepohamowaną tylko dumą wytłumaczyć możemy, że tym, który ją pierwszy przeciął, były osady niemieckie, a na czele ich miasto Kraków. Zapominając, że przyczyna złego leży w nich samych, w egoizmie ich własnym, osady niemieckie całą winę składały na panującego, skarżyły się na naruszenie i złamanie ich przywilejów, gardziły żywiołem polskim, a przecież obawiały się ruchu narodowego, który się wśród niego rozbudził, postanowiły zerwać umowę, mocą której się uroczyście Łokietkowi poddały, obce niemieckie książętko na tron powołać i Małopolskę ostatecznie do wielkiej niemieckiej przyłączyć ojczyzny. Takim był plan, który długo kuwany, w r. 1311 do wybuchu ostatecznie dojrzał.

Przypatrzmy się aktorom, którzy wystąpili w wielkim tym naszym dziejach dramacie. Poznać tu należy przede wszystkim organizację wewnętrzną Krakowa. Na czele miasta stały dwa kolegia urzędnicze. Jedno z nich tworzyli rajcy miejscy, w liczbie sześciu, wybierani corocznie przez miasto. Oni tu sprawowali zarząd, pilnowali przedewszystkiem interesów, przemysłu i handlu, prowadzili politykę handlową, która zarazem rozstrzygała o całym stanowisku miasta. Drugie kolegium składało się z siedmiu ławników, mianowanych przez radę, i ono wykonywało całą władzę sądową. Organizacja miejska była więc republikańską, jednakże wśród tej małej Rzeczypospolitej przeważny głos i stanowisko zajmowali wój-

towie. Przypomnijmy sobie owych przedsiębiorców, których Bolesław Wstydlivy użył do kolonizacji i odbudowania zniszczonego przez Tatarów miasta. W nagrodę zasług, jakie około tego dzieła łożyli, nadał im władzę wójtowską dziedziczną i hojnie ją uposażył. Trzydzieści łanów roli, szóstą część dochodów z kramów sukiennych, dochody z wszelkich kramów i rzeźni, szóstą część gruntów w mieście, a przede wszystkim opłaty i kary, w które tak dalece obfitowało sądownictwo ówczesne, wszystko to było ich udziałem i wyposażeniem. To też potomkowie owych kolonizatorów Krakowa wzrosli na wójtostwie miejskim w pierwszorzędnym magnatów...

Takim wójtem na początku XIV-go wieku był Albert... w osobie jego skupiały się dwa dążenia, dwie władze. Wobec miasta, jako posiadacz książęcego wójtostwa przedstawiał interes książęcy i publiczną władzę; wobec samego księcia, jako wójt dziedziczny, nieusuwalny, strzegł samorządu miasta i jego samoistności. Potęga więc jego, na którąkolwiekby się stronę przerzucił, dla drugiej stawała się niebezpieczną i groźną. Na nieszczęście, wzgarda dla polskości, niepohamowana ambicja i duma nie pozwoliły Albertowi wytrwać w pięknej roli pośrednika między dwoma żywiołami, sprawiły, że sam jako herszt, jako głowa rokoszu miejskiego wystąpił. Obmyślenie środków i planu rokoszu świadczy o jego niepospolitej energii i zdolnościach. Zapewnienie się ze strony miasta żadnych nie przedstawiało trudności. Byli i tutaj chociaż Niemcy z krwi i kości, ale ludzie spokojniejsi, z głębszym poczuciem obowiązków zaciągniętych wobec kraju i tronu... Ale prąd ogólny, który ludność krakowską w przepaść unosił, przerósł ich. Niemogąc stawić mu czoła, usunęli się, kiedy stanowcza zbliżała się chwila. W dniu 17 maja 1311 roku odbyły się wybory. Wyszli z nich rajcami najzagorzalsi nieprzyjaciele księcia polskiego i kraju. Wyborami kierowała widocznie ręka Alberta...

Zapewniwszy sobie miasto, należało zliczyć sprzymierzeńców. Najważniejsi zgóry już zostali ujęci, zaliczano do nich wójtów sandomierskich, liczne na prawie niemieckim poosadzone wsie, klasztory niemieckie, biskupa krakowskiego Jana Muskatę i t. p.

Pod jesień 1311 roku buchnął rokosz groźnym płomieniem w Krakowie. Zjawia się książę opolski, Bolesław, ze swoją drużyną, mieszczanie otwierają mu bramy, ofiarują ich klucze, prowadzą w tryumfie i sadzają na książęcej stolicy. Miasta i wsie niemieckie w ziemi krakowskiej i sandomierskiej pośpieszają z hołdem, rządowi Łokietka usuwa się pod stopami ziemia; on sam zaskoczony zniemacka buntem na zamku krakowskim, broni się jak lew z garstką wiernej drużyny i odpiera coraz to groźniejsze szturmy. Albert stoi na szczycie potęgi, Łokietek widzi przed sobą ponowną tułaczkę. Ale zahartowany tyłoma przejściami umysł jego nie rozpacza, wola budzi się do tym większej energii, im straszniejsze niebezpieczeństwo. Ani Albert wójt, ani Henryk opat, ani Muskata biskup nie wiedzieli, jakiego mają przeciwnika, z kim do śmiertelnej porwali się walki.

Śpieszą na odsiecz Łokietkowi zbrojne hufce polskiego rycerstwa i włościan, skupiają się około narodowego sztandaru; ale drobna to tylko garstka w porównaniu z siłami rokoszu, zagrożona w swoich własnych domostwach, niezdolna rozbić kamiennych murów miast i groźnych baszt klasztorów i zamków. Łokietek znajduje jednak sposób, jakby je można pokonać; postanawia zdobyć je z wewnątrz, nie mogąc z zewnątrz skutecznie wyłomu. Zaprawiony na zatargach z Zakonem krzyżackim, przyzwyczajony walczyć w nich bronią samego Zakonu, ocenia jednym rzutem oka, że bunt niemiecki wtedy tylko pokona, jeżeli w łono jego zdoła rzucić żagiew wewnętrznej niezgody. Znał na wskroś nieprzyjaciół, wiedział w którą stronę uderzyć, działał z zimną krwią, stanowczo, z pewnością zwycięstwa, z niezrównanym mistrzostwem.

Pierwszym, który otwarcie zdradził Kraków, był książę opolski Bolesław. Po krótkich rokowaniach opuszcza z drużyną swoją, z Albertem i kilkoma najwinniejszemi miasto i bez walki wydaje je Łokietkowi... Żelazna dłoń księcia zawisła nad Krakowem... Słaby opór ulicznej czeredy hufce polskie złamały bez trudu i rozpoczęły rzeź bez litości! Kogo na ulicach schwytano, kazano mu wymówić: „soczewica, koło, miele młyn,” a poznawszy po wymowie Niemca, ścinano... Posiadłości buntowników skonfiskowane, służyły na wynagrodzenie tych, którzy dla sprawy książęcej położyli zasługi...

Najdotkliwszą dla Krakowa karą były zmiany zaprowadzone w jego dotychczasowej wewnętrznej organizacji. Łokietek zniósł dziedziczne wójtostwo, mianował wójtów urzędników, zniósł prawo wolnego wyboru rajców i wojewodzie krakowskiemu corocznie ich mianować polecił. W autonomji miejskiej był to wyłom, nie dający się żadnym sposobem zapełnić. Tracąc dziedzicznego wójta, tracił Kraków naturalnego reprezentanta interesów swych na dworze książęcym; wójtowie bowiem przewodniczący odtąd sądom i działalność swą do spraw sądowych ściśle ograniczający, podrzędne zajmowali stanowisko. Rada miejska, w braku dziedzicznego wójta, zyskała zupełną w zarządzie miasta z tej strony swobodę, ale utraciła ją ze strony drugiej, uległa wpływowi wojewody, który wcześniej lub później musiał się stać reprezentantem nieprzyjaznego dla miast dążenia szlachty.

Było to jedyne może buntu Albertowskiego, dla dalszego rozwoju stosunków naszych politycznych szkodliwe następstwo. Kiedy bowiem później w XV stuleciu, wszystkie stany walczyły o zdobycie sobie stanowiska w nowym ustroju Rzeczypospolitej, wówczas stolica państwa, która najsmutniej mogła być stanowczy głos w sejmowym ustawodawstwie zapewnić mieszczaństwu, pozbawiona swej autonomji, nie mogła zadaniu temu należycie sprostać. Stosunki miejskie,

od życia politycznego odosobnione, nie dawały też należytego pola, nie zaspokajały ambicji możnych mieszczańskich rodzin. Wierzyńkowie, Bonarowie, Betmany, Szembeki, Morsztyny, zamiast stanąć na czele miasta i przed zgubną przewagą szlachty skutecznie je zasłonić, przenosili się z urzędów miejskich na senatorskie krzesła i szeregi wrogiemu mieszczaństwu żywiołu zwiększali dostatkami swemi, stanowiskiem, inteligencją. Do powstania tej zgubnej teorii uszlachcania mieszczan, która jeszcze na sejmie czteroletnim ostatni, niefortunny znalazła odgłos, bunt Alberta w ten sposób pierwszą położył podstawę. Zresztą miał on dla całej Polski znaczenie próby ogniowej. Idea narodowa odniosła głośne zwycięstwo, zbudzona gwałtownie z uspienia stała się myślą przewodnią dla jednoczącego się państwa, a tłumiąc przeciwne sobie żywioły, wskazywała jego polityce zewnętrznej szerokie dążenia i cele. Władza książęca stanęła na czele wszystkich czynników społecznych, dobro publiczne ponad prywatą i zaściankowością. Bez tego buntu nie mielibyśmy panowania Łokietka i Kazimierza, najświetniejszych naszego w średnich wiekach wewnętrznego rozwoju.

Wojna z Krzyżakami i możnowładztwo polskie za Władysława Łokietka.

Z rozprawy Karola Potkańskiego p. t. „Zdrada Wincentego z Szamotuł.” Kraków 1899 r. 38-my tom Rozpraw Akad. Umiej.

Zbliżały się dla Polski chwile bardzo ciężkie: w roku 1328 zawrzała na nowo długa walka o Pomorze. Każdy rok nową niesie wojnę, a każde takie starcie pokazywało, że Zakon silniejszy, a Łokietek słabszy. Miał też Zakon potężnego sprzymierzeńca w Janie Luksemburczyku, królu czeskim, z jego to pomocą Krzyżacy zdobyli ziemię Dobrzyńską w 1329 roku.

To zwycięstwo nie przecięło walki. Ufny w swoją przewagę, Zakon pustoszy dalej Kujawy, zdobywa Wyszogród i Bydgoszcz. Łokietek się nie rusza i nie od razu mści najazd. I on musiał się teraz obejrzeć za sprzymierzeńcami, bo widział, że sam nie podola. Znalazł ich w Karolu Robertcie, królu węgierskim, zmawia się też z Giedyminem i z Litwą.

Ważny to moment w dziejach Polski! Coraz więcej zbliżała się chwila nie tylko już granicznych napadów, lecz chwila stanowczej walki. Czuli to Krzyżacy, ale przedewszystkiem czuł i król polski... Wielka wojna wybuchła w r. 1330; Zakon ustąpić ani myślał — był mocniejszy, postanowił

jednakże wyteżyć jeszcze siły i zgnieść Łokietka. Z wiosną 1331 roku urządził na Polskę walną wyprawę wraz z królem czeskim Janem, który miał mu przybyć na pomoc. W pierwszych dniach lipca, kiedy dojrzewają w polu zboża, stanęły w płomieniach nadgraniczne wioski i grody, mord i pożoga poszły przez całą wielkopolską ziemię. Krzyżacy zbrojno, z rozwiniętymi proporcami, byli nieomal w każdej wiosce i w każdym grodzie, paląc, mordując, nie oszczędzając nikogo i niczego. Ładowne wozy zajeżdżały przed kościoły, które łupili doszczętnie i systematycznie. Przetrzęsali zakrystje, rabowali sprzęty kościelne, zabierali dzwony i święte obrazy. Pilnie też na to baczyli, czy się nie znajdzie jakie parę groszy w skarbonkach kościelnych, które rozbijali. Po miastach przeszukiwali starannie domy bogatszych mieszczan, wybierali dobytek, a potem dopiero podkładali ogień.

I tak szli dalej, mając przed sobą ciągle kraj równy, żyzny, plonem brzemienny, a zostawiając za sobą stratowane pola, zgłiszczą popalonych wiosek i grodów. Zdobyli Nakło, zatrzymali się przed Gnieznem. Nęciły ich skarby katedry, ale ich przecież nie tknęli. Tym razem namyślili się i poszli za głosem... rozsądku. Wysłannik arcybiskupi zwrócił ich uwagę, że gdyby zniszczyli kościół katedralny, nabawiliby się dużo kłopotu, bo arcybiskup zanieś skargę do Rzymu. Poprzestali więc tylko na spaleniu i zrabowaniu przedmieścia i podgrodzia, gdzie stał kościół św. Wawrzyńca. Z Gniezna zawrócili na Pyzdry. Załoga na zamku oprzeć im się nie mogła, tak samo w mieście mieszczanie. Zakonni rycerze zdobyli też łatwo zamek i miasto, które puścili z dymem. Poczym oblegali Kalisz. Nie szło im to jednak, król Jan czeski nie nadchodził, bezpieczniej było wracać, ale nie najkrótszą drogą, żal im było przecież zostawiać niezrabowane kościoły i grody... Aby z korzyścią czas zając, skręcili do ziemi sieradzkiej i łączyckiej po dro-

dze, na Kujawach bogate sobie obiecując łupy... Szli teraz przez kraj pusty, którego bogactwa i dobytek wieźli w ła-downych wozach.

Władysław Łokietek postępował za niemi, jak groźba odwetu, urywając gdzie się dało; nie wydawał jednak bitwy, czekał ciągle na pierwszą ku temu sposobność. Niebawem ją znalazł. Część krzyżackiego wojska oddzieliła się i poszła oblegać Brześć, który dotąd uszedł losu innych wielkopolskich grodów. U Płowiec przyszło do bitwy w dzień Przeniesienia św. Stanisława, król starł i zniósł prawie doszczętnie tę część krzyżackiego wojska, z którą się spotkał. Padło wiele zakonnej braci, wielu wzięto do niewoli...

Na wieść o porażce zawrócili najspieszniej Krzyżacy z pod Brześcia, nieopodal leżącego. Z nadchodzącymi, Władysław Łokietek nie chciał się zmierzyć, bo się już nie czuł na siłach i ustąpił. Zwycięstwo więc nie było zupełnym; Łokietek osiągnął je z wytężeniem wszystkich sił swoich, a mimo to Krzyżaków nie na długo pozbawiło ono chęci napadu na Polskę. Na razie jednak było zawsze wygraną. Krzyżacy ustąpili z kraju, a król, rozpuściwszy swoje i posiłkowe rycerstwo, wrócił do Krakowa.

Tak się skończyła wielka wyprawa z 1331 roku, aż do Grunwaldu największy wysiłek wojenny, na który się Polska zdobyć mogła...

Z wojną krzyżacką łączą się opowiadania o zdradzie wojewody Wincentego z Szamotuł, który niedługo potem zginął gwałtowną śmiercią, niespodziewanie ugodzony pociskiem. Głębsze studia nad tą sprawą wykazują, że wojewoda Wincenty, choć zdradzał, przecież nie zaważył tak dalece na losach Polski i sam nie był wyjątkowym, górującym nad innemi człowiekiem. Tradycja zrobiła z niego więcej, niż było istotnie, dlatego należał on zawsze więcej do legiendy, niż do historii. To, co wiemy, pozwala przypuszczać,

że był wicherzycielem, jakich było więcej, jakim mógł być niejeden z polskich wielmożów...

Czyn ludzki i jego pobudki należą do najwięcej skomplikowanych objawów — aby go należycie ocenić i oświetlić, należałoby wszystko o nim wiedzieć. Tymczasem historia sędzić musi najczęściej z okrucichów i ułamków — podobna ona jest nieraz do kogoś, któryby rozkopywał ziemię motyką, szukając łebka od szpilki, lepiej więc pozostawić w cieniu to, co pozostało ciemnym, niż sztucznie oświetlać...

W ewolucji dziejowej zmienia się często gra czynników, ich wzajemny stosunek, siła, napięcie, ale one same zmieniają się bardzo powoli i nieznacznie. Po koronacji Władysława Łokietka nie mogło się też wszystko zmienić zasadniczo — możnowładztwo przecież odgrywa tak znaczną rolę i o wiele później, ba! przez całą nawet polską historję! Nic też dziwnego, że i za Łokietka zachowało ono znaczenie i było nader ważnym czynnikiem społecznym. Władza królewska wzmogła się także, ale nie na tyle, aby możnowładztwo polskie uczuło się zupełnie zgniecionym. Do tego było daleko! Zmienił się tylko stosunek wzajemny obu tych czynników: króla i wielmożów, na niekorzyść ostatnich. Ujawnia się to i w historii. Nałęczę razem z Zarebami zamordowali króla Przemyśla i zniszczyli jego dzieło. To samo możnowładztwo wielkopolskie wypędziło Władysława Łokietka podczas jego pierwszych rządów — możnowładztwo pomorskie pozbawiło go zaś później Pomorza.

Teraz zmieniają się role. Król, bo już nie książę, ale król, jest silniejszy, możnowładztwo już za słabe, aby dopiąć tego co chce, ale dosyć silne, aby myśleć i chcieć odzyskać dawne stanowisko, to zaś, które ma, jest bardzo znacznym i ważnym, i takim być nie przestaje. Drogi, któremi do tego zmierza, są takie, jakie były wówczas otwarte i możliwe. Znoszenie się i zmaganie z ościennymi państwami,

zdrada, jak się dzisiaj mówi, była podówczas częstą — więc i u nas się spotyka.

Zamęt polityczny i rwanie się różnych pojęć, treść rzeczy nie odpowiadająca formom: wszystko to sprawiło, że wiek XIV jest wiekiem pojęć bardzo często chwiejnych, i „ruchomych”. Jestto epoka tworzenia się wielkich państw i wielkich narodów. W walkach, które się zaczęły, poczucie narodowości budziło się dopiero wówczas i zwolna uświadamiało, ale nie było stałym i wyrobionym, a często trzeba było na rzecz tego rodzącego się uczucia poświęcać wiele ze swych własnych korzyści znanych i uznanych.

Taka ofiara nigdy łatwą nie jest i łatwą wówczas nie była. Często też interesy możnowładztwa feudalnego czy innego stały w sprzeczności z interesami panujących, bo ci ostatni przedstawiali prąd tworzenia się wielkich państw, więc choć nieświadomie byli bliżsi pojęciu narodowości; możnowładztwo zaś, przeciwnie, przedstawiało interesy swoje stanowe, sprzeczne z tamtymi, a nadto interesy, a przynajmniej odrębność mniejszych obszarów, gmin, jakbyśmy dzisiaj mogli powiedzieć. Nie należy też zapominać, że psychologia ówczesnych ludzi była często inną niż nasza. Uświadamiali oni sobie bardzo mało, to znaczy, mało rozumowali i rozważali, natomiast podlegali o wiele więcej, niż my, stanom czuciowym, byli impulsywni. Namiętności też i uczucia miały niemi silniej, niż nami, ale nie znaczy to bynajmniej, aby z siłą i gwałtownością łączyła się stałość. Przeciwnie, ludzie ówczesni byli zmienniejsi niż my, niepohamowani często w żalu i radości, bywali też lekkomyślni; skłonni do czynu, ale też skłonni do porzucania i odmiany zamiarów.

W historii ówczesnej burzliwej i niespokojnej pełno jest objawów ścierania się sprzecznych interesów i namiętności, a także i samowoli. Mamy nieraz do czynienia ze zdradą we Francji w czasie wojny stuletniej; bliższe Polski Niemcy przechodzą jedną z najburzliwszych epok; są prawie w stałej

wojnie domowej... Moźnowładztwo nabiera znaczenia, przetrzuca się co chwila na stronę tego lub owego z sąsiednich książąt, którzy wszyscy kuszą i namawiają możnych panów, bo ich pomocy potrzebują. Wichrzą też oni, to jawnie, to tajemnie, jak się daje i jak jest korzystniej. Wobec tych stosunków u obcych i u swoich, cóż dziwnego, że wojewoda Wincenty knował przeciw Łokietkowi? Ten sam król nie był dla niego tym, czym jest dziś dla nas — zbawcą Polski od ostatecznego rozbitcia, widowym przedstawicielem jej siły i jedności. Tak go współcześni rzadko bardzo mogli oglądać, jeżeli wogóle widzieli... Król już był tak silny, że wojewoda wiele mu nie mógł zaszkodzić. Mógł on nosić się z zamiarami zdrady, mógł ich nawet próbować lub je wykonać, ale to co czynił, groźnym ani szczególnie ważnym nie było — jest ważniejszym jako objaw, jako symptom, ale nie jako fakt historyczny...

Charakterystyka Kazimierza Wielkiego

przez Józefa Szujskiego.

Ostatni z Piastów na tronie polskim, Kazimierz, należy do owych postaci, których wielkość występuje dopiero wtenczas, gdy się mozolnie zbada tło wieku, oceni współczesnych, obliczy okoliczności, gdy się przyjdzie do trafnego wyobrażenia o stanie kraju, o gruncie, na którym działały. Przeniósł Kazimierz światło nad blask, mozolnie zdobyty skutek nad chwilowe powodzenie, z boleścią i upokorzeniem połączoną pracę nad porywczy a niepewny w rezultatach wybuch zemsty, niezrozumienie nad popularność, twarde życie liczące się z rzeczywistością nad różnowzory wątek dziejów, z powodzeń i klęsk utkany.

W chwili śmierci Władysława Łokietka obraz Polski przedstawiał się ciemno i pośepnie. Po długich bojach z przeciwnościami Łokietek umierał niespokojny, niepewny jutra dla korony swojej i państwa. Najpierwszy wówczas rycerz Europy, Jan Luksemburski, tytułował się upornie królem polskim, na mocy spadku po obu Waclawach. Z murów Krakowa ujrzyć można było granicę od Śląska, ciężącego wyraźnie ku Czechom, hołdującego Janowi. Za Pilicą rozciągało się niezależne Mazowsze, za Notecią władali już Krzyżacy, panowie wydartego Pomorza, a zajęte przez nich Kujawy nie dawały już nawet naturalnej granicy Wisły od po-

siadłości zakonnych. Wewnątrz kraju tlało jeszcze zarzewie niechęci niemieckiego mieszczaństwa, liczyć się należało z przychylnością szlachty i duchowieństwa.

W takich warunkach obejmował rządy Kazimierz, wychowany na dworze andegaweńskim szwagra swojego, Karola Roberta, a 27-letnie jego panowanie wygląda bądź co bądź jako skończone arcydzieło wytrwałej, cierpliwej, zawsze celu świadomej organizatorskiej pracy, arcydzieło, na którym znać nie tylko rękę mistrza w gruntownej wyćwiczonego szkole, ale i blaski spokojnego gienjuszu twórczego, który mu kazał iść drogą pokoju, chociaż bez znikomych blasków chwały, drogą ustępstw i poświęceń, wstrętnych zrazu, a przecież koniecznych. Szedł Kazimierz wytkniętą przez siebie drogą z tym zapalem rozumu, który nienawidzi nieprzyjaciela a nie rozbija o niego bezsilnej pięści, który ugina karku pod jarzmo potrzeby, aby wzmocniwszy się, podnieść go kiedyś tym silniej, który zabija się w codziennej pracy zmuśnej a twardej, aby nią kiedyś jak głazem olbrzymia roztrącić głowę zazdrośników i nieprzyjaciół.

Kazimierz z charakteryzującym go utylitaryzmem politycznym obmyślał przyszłość narodu, idee zachodnie przenosił do Polski. Gwałcąc zasady legitymizmu, naznaczając swoim następcą Ludwika, miał na celu przyszły odwet na Niemcach. I pamiętajmy, że jakimikolwiek były rządy Ludwika, wiodły one do rządów Jadwigi, Jadwiga do połączenia z Litwą, połączenie z Litwą do Grunwaldu... A tymczasem, zanim uderzy chwila odwetu, zwraca się działalność wielkiego króla ku wschodowi, ku Rusi Czerwonej, by bujną tę ziemię, płacącą dań baskakom tatarskim, pozyskać dla cywilizacji. Mnogie pokolenia idą przez wieki drogą wskazaną przez Kazimierza, idą tak długo, aż na latyfundiach ukraińskich, niby na latyfundiach starej Italii wybuchnęła pierwsza kwestja społeczna. Ruch ten, który na ogromne przestrzenie rzucił tysiące kościołów i klasztorów, miast i wsi,

grodów i dworów, który zaniósł municypalność zachodnią do Połocka, Witebska, Smoleńska, za Dniepr, który z soków tej bujnej przestrzeni wyprowadził tyle wielkich historycznych imion — pozostanie na zawsze zapisany w dziejach cywilizacji jako ruch dodatni.

Podwaliny przyszłej potęgi Polski pochodzą od Kazimierza Wielkiego;—założyciel Akademii krakowskiej, opiekun chłopków i żydów, był on przede wszystkim królem oddanym pracom ekonomicznym, królem budowniczym, założycielem wielkich śpichlerzy na lata nieurodzaju, wchodzącym często w bezpośrednie zetknięcie z niższymi warstwami społeczeństwa. Żelazna ściana rycerskich zbroic odgradzała władców od ludu, później uczyniły to barwne stroje dworzan i szlachty, lud zdaleka tylko spoglądał. Ostatni Piast królewski schodził jeszcze między murarzy, sukienników i rolników, on też pozostał w tradycji — gdy zapomniano o innych. Pozostał też Kazimierz jako wielki inicjator wszystkiego, na czym opierał się rozkwit miast, handlu i przemysłu do drugiej połowy XVI wieku, jako obrońca bezpieczeństwa dróg handlowych, organizator niesfornego żywiołu, który do miast napływał, jako legislator cechów, w szczególności jako protektor dwóch gatunków rękodzieł, które w Polsce nad inne zakwitły: sukiennictwa i garbarstwa. Na instytucjach stworzonych przez Kazimierza Wielkiego, jakby na granitowej podstawie, opierała się organizacja państwa polskiego przez szereg stuleci. Statut wiślicki pozostał jedyną do końca kodyfikacją, grody starościńskie jedynym przybytkiem administracyjnej i wykonawczej władzy, odstąpienie od zasad jego ekonomicznych zaznaczyło się upadkiem mieszczaństwa, przemysłu i tej niezawisłości skarbowej królewskiej, któraby mu pozwoliła nie oglądać się na sejmowe podatki uchwały, stać nietylko miłością jednego stanu, ale siłami wszystkich. To, co się w dziejach powszechnych nazywa monarchją nowożytną, co opiera się na zasobności skarbowej króla, na

ukróceniu zbytej potęgi i oporu stanów politycznie uprawnionych przez stany gotowe do wspomaganie tronu, w zamian za jego opiekę,—na stworzenie siły wojennej nie z feodalnego obowiązku, ale środkami samej władzy państwa — te próby stworzenia monarchji nowożytnej w Polsce były częste, widać je za Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I, Zygmunta Augusta — ale porównawszy je z tym, co robił i czym był Kazimierz Wielki, musi się uznać, że jeśli później jeszcze jego następcy chwyтали się jego wskazówek i śladów pracy, jako jedynej tradycji, żaden już nie był w stanie przebudować gmachu, który on, acz na mniejszym terytorjum, przed wiekami postawił.

Kazimierz Wielki.

Z dzieła Kazimierza Morawskiego p. t. „Historja uniwersytetu Jagiellońskiego.” Kraków, 1900 r.

W Polsce, za panowania Władysława Łokietka, troska o ugruntowanie państwa, bytu i władzy tak dalece była nagłą, tak bardzo zaprzętała wszelkie energie, że prądy i myśli wielkoświatowe nie mogły tu się przedostać, że trudno było marzyć o kulturze wyższej wobec cięższych i przeciążających zadań bytu. Następca jego i syn, Kazimierz, zwany Wielkim, otrzymał, wstępując na tron, państwo już silniej utwierdzone, a zdolności wrodzone i wielka na obce wzory i wpływy wrażliwość podniecały go do czynów, do popierania wszystkiego, co mogło przynieść postęp i zapewnić rozwój pomyślny społeczeństwa. „W dziejach każdego narodu spotykamy — mówi Szajnocha — wielkie postacie historyczne, których genealogji moralnej, pokrewieństwa z poprzednim i następnym pokoleniem dostrzec nie można. Taką w części niewytłumaczoną postacią jest nasz Kazimierz Wielki.” Wnosi on na tron tyle zasobów i właściwości nowych, takiego ducha rwącego się do postępu na wszystkich polach, że między panowaniem średniowiecznego Łokietka a temi rządami syna wielki jakiś przełom dostrzec się daje. Przedsiębiorczy młodzieniec zrywa się na tak ogromne kroki, do ja-

kich przeszłość nie przywykła, za któremi współcześni wydażyć nie mogą. Tą przeszłością, ani społeczeństwem samym on wytłumaczyć się nie da. Klucza zagadki szukać nam potrzeba w głębiach jego duszy, bogato wyposażonej, wrażliwej na wszelkie wpływy ościenne. Jest w nim pewna miękkość, odrębna od hartu i rubasności średniowiecznych książąt. Szuka pokoju nie gnuśnego, lecz pełnego błogosławieństw, całe jego panowanie jest wskutek tego szeregiem traktatów i dzieł pokojowych. Jakiś pociąg do piękna, wykwitności i wystawności wyróżnia go stanowczo od poprzedników. Objawia się to w jego występach królewskich, wśród których splendorem otaczać się lubił, w jego ucztach, przy których uważa na dobór potraw i napojów, a mianowicie w tych budowach przelicznych, któremi pokrywa kraj cały, dbając zawsze o ich trwałość i piękne kształty.

Dla Zachodu, który mu w pierwszym rządzie jako świat niemiecki się przedstawia, ma życzliwość, która prawie graniczy ze słabością, okupowaną ustępstwami; dla indywidualności ma szacunek prawie nowoczesny, który mu w człowieku nie rodu i pochodzenia, lecz przedewszystkim zalet osobistych szukać każe.

Krewkość niezmierna zmysłowa dopełniała bujność tej bogatej natury i sprowadzała ją nieraz na manowce. W dziejach serca wielkiego króla są strony piękne i rzewne... ale są i obłądy, które świadczą, że Kazimierz umiając panować nad innemi, nie umiał panować nad sobą... Postać jego występuje przed nami ze znamionami pełni rozwoju, jakie noszą niekiedy na sobie ostatni z rodu, a zarazem widoczne w nim pewne zapowiedzie i przesłanki nowej jutrzrenki odrodzenia, które pojawiły się zawczasem i zginęły w mroku następnych czasów.

Wpływami ościennymi oraz wielką wrażliwością i chwytnością jego natury da się wiele w jego postaci wytłumaczyć.

Przypadło mu w udziale królestwo, które od Południa stykało się z Węgrami, od Zachodu sąsiadowało z czeską kulturą. Węgry pod panowaniem Andegawczyków zetknęły się przez rodzinę królewską z całą cywilizacją i wszystkimi prądami, które wtedy poruszały południem, a przez to pośrednictwo o północ potraćać zaczęły... Kazimierz długo przebywał na Węgrzech, na dworze szwagra swojego, Karola Roberta, i niejedna zdrowa myśl, niejedno urodzajne ziarno paść mogło z tej strony w duszę młodego królewicza... Oddziaływały też nań wpływy czeskich Luxemburczyków, Karola IV, za którego kultura kraju wybitnie się podniosła i znalazła ostatni, najświetniejszy swój wyraz w założeniu uniwersytetu praskiego... Za jego przykładem poszedł Kazimierz, podejmując myśl ufundowania w kraju własnego uniwersytetu... Że grunt w Polsce nie był dostatecznie przygotowanym do przyjęcia myśli królewskiej, to pewne; nie była ona wykwittem obrobionej roli, lecz kwiatem, który ze śmiałej głowy monarchy wystrzelił nagle i jak późniejsze czasy przekonały, przedwcześnie. I w myśli samej i w jej ukształtowaniu objawia się dziwna rzutkość tej osobistości, która kładąc podwaliny pod późniejszą świetność Polski, myśli już o wieżycach gmachu i zatyka na nich sztandary tryumfu...

Obok wpływów czeskich, inne pozytywne pobudki oddziaływały tutaj na Kazimierza. Wielką była potrzeba uczonych prawników. A choć notariusze o przywileju cesarskim lub papieskim coraz częściej pojawiali się w kraju, choć w kancelarji królewskiej pracowali ludzie biegli w prawie, niemniej przeto zapotrzebowanie prawników było znaczne. Oni to przecież spełniali w tej epoce zadania dzisiejszej dyplomacji, załatwiali i układali spory międzynarodowe, a Kazimierz, jako pokojowy książę, którego panowanie jest jednym szeregiem traktatów, jako sąsiad Krzyżaków, którzy

go narażali na tysiączne spory graniczne i zasadnicze, więcej od innych potrzebował poparcia prawników, i musiał dbać o to, aby w jego narodzie nauka prawa znalazła uprawę i rozszerzenie...

W celu urzeczywistnienia swej myśli zwrócił się król do stolicy świętej, bo zwrócić się musiał. Od połowy XIV wieku utarło się bowiem przekonanie, że prawo zakładania nowych uniwersytetów nie przysługuje bezwzględnie czy to miastu jakiemu, czy księciu, i że zatwierdzenie tego rodzaju fundacji należy do prerogatyw już to papieża, już to cesarza. Wpłynął na to pogląd, że znamieniem istotnym uniwersytetu jest nadawanie stopni, któreby uprawniały do nauczania w całym świecie, i że tego rodzaju uniwersalne prawo mogły tylko nadawać uniwersalne potęgi owych wieków, papieństwo lub cesarstwo. Przyczyniały się też do tego inne względy. Uniwersytet średniowieczny był instytucją przeważnie duchowną; duchowni tu uczyli, wśród scholarów przeważali księża i przyszli księża, cele duchowne przyświecały i w teologii i w prawie. Całemu temu gronu magistrów i scholarów mogła jedynie ingerencja papieża zapewnić warunki pracy i pracy tej przywileje; papież uwalniał od rezydencji dygnitarzy kościelnych i brać zakonną, papież wytwarzał dla magistrów środki istnienia przez nadawanie uniwersytetowi beneficjów kościelnych... Interwencja papieska była ówczesnie zasadniczym warunkiem powstania nowego studjum...

Kazimierz z właściwą sobie energją przezwyciężyć zdołał liczne trudności, pozyskał przyzwolenie papieża i już w 1364 roku wszechnica krakowska powołaną została do życia i zorganizowaną na wzorach słynnego uniwersytetu w Bolonji.

Przedwczesną myśl wielkiego władcy zmroziły burze i zapomnienia następnych czasów; była ona przedwczesną,

jak tyle innych rysów w osobistości Kazimierza; była śmiałą, jak te świątynie zbudowane w mieście noszącym jego imię, prawdziwe pomniki królewskich myśli i polotu, wzbijających się wysoko po nad poziomy ludzi i wieku. Sterczą one po dziś dzień po nad marnym otoczeniem, które przez szeregi stuleci w niczym ich nie dorosło.

Znaczenie Kazimierza Wielkiego w dziejach Polski.

Z pracy J. K. Kochanowskiego p. t. „Kazimierz Wielki. Zarys żywota i panowania.” Warszawa, 1900 r.

Żaden może z rozsianych w Europie zabytków przeszłości i sztuki nie ilustruje równie jaskrawo przełomów dziejowych, jak dwa, prawie współczesne sobie, a najstarożytniejsze z grobowców, dochowanych pod sklepieniami katedry na Wawelu. Niegdyś stały te grobowce jakby na straży u wrót prezbiterjum królewskiej świątyni; przeróbki późniejsze usunęły je do naw bocznych, które od nawy głównej odgradzono ścianami, zastępującymi dawne filary. Przegrody te wzniesione ręką dbałego o całość sklepień architekta, nabierają dla dzisiejszego spostrzegacza jakby znaczenia symbolu: jeden bowiem z grobowców wspomnianych, to ostatnie schronisko króla Władysława Łokietka; drugi — syna jego Kazimierza, któremu potomność miano Wielkiego przyznała. Jedno tylko dzieli ich pokolenie, jeden życia ludzkiego przeciąg, kilka zaledwo dziesięcioleci, które nie miałyby wybitniejszego znaczenia, gdyby nie wpływ potężny, preradzający i twórczy, jaki czyni w tym okresie czasu dokonane na dalszą wywarły przyszłość. Pomędzy obu temi pokoleniami: pomiędzy wielkich zasług ojcem i wielkim synem, stanęła poczęta przez gienjusz ostatniego, tak silna i niezmiernona

przegroda, że symbol architektoniczny słabe tylko o niej dać może wyobrażenie. Skromny grobowiec Łokietka, na którym bohaterski król-tulacz, o rysach polskiego chłopca, w chłopskiej jakby spoczywa sukmanie, której skromnego charakteru zatrzeć nie potrafią oznaki monarszej godności, to ostatni słup graniczny rodzącej się z chaosu słowiańskiego Polski. Jest to symbol jej dziejów bajecznych, jej wewnętrznych rozterek, podziałów, wysiłków i bólów nowego z średniowieczny narodzenia.

Cudownym zaiste zrzędzeniem, które, im głębiej wnikać w dzieje, tym więcej podziwiać i czcić trzeba, nowa forma polityczna, i budowniczy, który miał ją należycie wyzyskać, zjawiają się razem w momencie stanowczym. A był to moment, w którym zagrożona zewsząd w swym istnieniu daleka od jednolitości, a nie świadoma jeszcze samej siebie, pomimo centralizacyjnych czasów Przemysława Polska stanęła wobec problemu: być albo nie być?

Zbawca miał jej stworzyć byt i formę dla dalszego istnienia, miał osłabiony wewnętrznie kraj wzmocnić i wydrzeć na zawsze z rąk dominujących wówczas w Słowiańszczyźnie Czech, lub, co rychlej jeszcze, ocalić ziemie Piastowskie od szponów naturalnego ich wroga, świata germańskiego. Nadto, zaszczepienie pierwiastków cywilizowanego życia i zapoczątkowanie tych idei, które stworzyły w następstwie piętno politycznego i cywilizacyjnego indywidualizmu Polski — jednym słowem, pchnięcie jej na tory dalszego a istotnego rozwoju, jest niewątpliwie wiekopomnym dziełem gienjuszu Kazimierza.

Grobowiec tego króla, świetny i bogaty, ozdobnością ornamentyki pieścący oko, jest nie tylko pięknym dziełem sztuki. Piękniejszy to jeszcze o wiele, bo porywający nie tylko umysł, ale i serce, symbol potężnego przełomu, jaki w dziejach monarchji Piastowskiej stworzyło tych kilka dziesięcioleci, wypełnionych tchnieniem gienjuszu zmarłego króla.

Grobowiec ten, w którym uderza tak niezmierną nowość szczegółów, w porównaniu z sarkofagiem Łokietka, to symbol narodzin Polski prawdziwie historycznej, Polski cywilizującej się i cywilizowanej, Polski jako części składowej europejskiej kultury. A z olbrzymiego tego przełomu, którego słupem granicznym jest ów czerwony, misternie rznięty marmur koszycki, należy nam i dziś jeszcze pilną zdawać sobie sprawę.

Rzec bowiem można, że cały nieomal zrab tych idei historycznych, jakie w wewnętrznym i politycznym bycie późniejszej Rzeczypospolitej występują, znajdujemy już w zarodku w wieku XIV, za rządów tego wielkiego króla. Świadczy to najwymowniej o ich żywotności, o wielkiej potędze, a zarazem o gienjuszu ich twórcy i siewcy.

Ten mąż wspaniałej urody i postawy, o włosach i brodzie misternie trefionej, na której osiadły — zda się — szczytki zachodnich balsamów; ten król w majestacie, o oku i czole rozumnym i poważnym; odziany w szatę z bogatej materji, opasany szeregiem baszt i murów, ukoronowany misternym djademem, obuty w rycerskie ciżmy, wsparte na lwie, symbolu potęgi, jaką ufundował, a spoczywający snem wiecznym pod strzelistemi wieżycami gotyckiego baldachimu; ten król-olbrzym wprowadził młodocianą Polskę do cywilizowanego świata Zachodu i nie tylko od zagłady ją uchronił, ale rozniecił na dziejowej drodze słowiańskiego plemienia pochodnię siły, cywilizacji i potęgi, która przez tyle wieków opromieniać miała daleko — hen poza granicami Słowiańszczyzny — chwałę szybko rozwijającego się państwa...

W pierwiastkowym rozwoju Polski do połowy XIV w., nie znajdujemy wobec walk nieustannych, jakie w obronie bytu etnograficznego toczyć było trzeba, żadnych niemal usiłowań, zmierzających ku wewnętrznej organizacji i pracy społecznej. Wyjątek może stanowi synod łączycy z 1180

roku, na którym wszelako uregulować się starano jedynie stosunek władzy świeckiej do duchownej.

Epoka przed Kazimierzem Wielkim nosi na sobie bardzo wybitną cechę chaosu; z którego dzieje Polski dopiero pod panowaniem tego króla wypłynąć miały na szerszą widownię historyczną. Rządy tego monarchy, pierwszego, który usiłował niezakrzepłym jeszcze żywiołom nadać formę właściwą i wtłoczyć je w określone ramy godnego, a jakby przeczutego rozwoju, posiadają tę wielką dla nas wagę, że przedstawiają nam jednocześnie pierwotny stan młodocianej Polski w jego chaotyczności i niewyrobieniu, obok stanu pierwszych usiłowań, podjętych około rozwoju i krystalizacji. Fakt to tym donioślejszy, że usiłowaniom owym danym było jeszcze za życia wielkiego ich inicjatora stworzyć z zamieszania nowe formy bytu, cywilizacji, i zaszczerpić te przewodnie a najżywotniejsze ideje, które rozwijając się nadal drogą naturalną, logicznie i odpowiednio do Kazimierzowego założenia, zamieniły zczasem młodocianą Polskę w monarchję Zygmunтовską złotego wieku...

Najwybitniejszym piętnem charakteru rządów ostatniego Piasta była praca wewnętrzna, skierowana ku podniesieniu i unormowaniu stosunków społecznych. Strona polityczna jego panowania, stanowisko względem Czech i Zakonu Krzyżackiego, reprezentującego wówczas na kresach słowiańskich ideę germańskiego naporu na Wschód, podlegać może rozmaitym sądom, zapatrywaniom i krytyce...

Kwestja samego już bytu, nie mówiąc o rozwoju osieroconej przez bohaterskiego Łokietka Polski, przedstawiała się w sposób bardzo groźny. Nie płowieckie zwycięstwa, nie bohaterskie wysiłki na zewnątrz i czyny walecznego barbarzyństwa, ale jedynie akcja cywilizacyjna na wewnątrz, upaństwowienie rozlicznych odrębności, stworzenie wspólnego ideału narodowego życia, mogło kraj uchronić od nieuniknionej zagłady. Położenie geograficzne Polski, obok

parowiekowej tradycji krwawych a nadludzkich często walk z Niemcami w obronie odrębności plemiennej, oraz wobec różnicy języka i wyznania w stosunku do pobratymczych plemion wschodnich, nie dozwalało już Łokietkowej dziedzinie, ani stać się łupem niemieckiego zachodu, ani też złać się z drzemiącą jeszcze Słowiańszczyzną wschodnią. Była też Polska dotąd dla niej i zostać miała na przyszłość wałem ochronnym i cywilizacyjnym przedmurzem od strony swiata germańskiego.

Gdy bieg dziejów naszych zadecydował już o przynależności Polski do cywilizacji zachodniej, szybko zbliżała się stanowcza chwila rozpoczęcia konsekwentnej akcji wewnętrznej, któraby zawiązek owej przynależności na trwalszych oparła podstawach. Era ślepej siły pięści ogólnie już wówczas w Europie ustępować poczęła czasom pracy organizacyjnej, w sferze ducha i twórczych jego objawów nowe powiały prądy. Były to już czasy, w których na tle średniowiecznej, brzemieniem doktryn i dogmatów gniecionej fazy cywilizacyjnego rozwoju, rysować się zaczęły zwolna, ale stanowczo, pierwsze porywy samodzielności, mającej utorować drogę odrodzeniu.

Wpływ Rogera Bacona († 1294) do Polski sięgać jeszcze nie mógł, istniał już jednak w ówczesnej sferze europejskiej myśli pewien ogólniejszy nastrój, zmierzający do pogłębienia obserwacji i krytyczniejszego zapatrywania się na rzeczy. Rozpowszechniało się poczucie możliwości radykalniejszych reform i zmiany istniejących stosunków na inne, dogodniejsze. Na tle epoki średniowiecznej był to postęp wielki, a na rozwój jego wpływ pobudzający wywierało rozdwójenie kościelne, rzymsko-awinjońskie, dające światu z otoczonych aureolą wyżyn Stolicy apostolskiej podniętę do badania nietykalnych aż dotąd zakresów ślepej i uległej wiary. Jako ostatni wyraz niezależności pobudzonych w swym indywidualizmie przekonań, epoka ta zrodziła Wiktora (ur. 1328 r.), odrzucającego dogmat o transsubstancjacji.

Sama już kwestja uznania tego lub innego papieża wymagała namysłu i rozwagi, a trzeźwa refleksja wystarczała zupełnie, by średniowiecznemu umysłowi wskazać śmiało, nieznanne mu dotąd drogi. Z jednej strony daje ten nowy prąd życie rozlicznym ogniskom nauki na europejskim kontynencie, z drugiej zaś, w sferze stosunków społecznych powołuje mieszczan i włościan, deptanych dotąd bezkarnie przez rycerzy, do upomnienia się o swoje prawa. We Francji powstaje ludowy ruch rewolucyjny, Jacqueries, w Niemczech wzrastające w siłę związki miejskie obracają w perzynę całe setki zameczków rozbójniczych... Duch nowy zaczyna ogarniać coraz szersze sfery uczuć i myśli. Pogłębia on wiarę istotną, gorącą; tworzy cuda w jej widomym symbolu, stylu gotyckim, pierwszym objawie niezależności średniowiecza w sztuce i architekturze, a rozszerzając horyzonty ludzkiego umysłu, skłania społeczeństwa do pracy twórczej, do czerpania z niej siły w dalszym pochodzie rozwojowym ku jaśniejszym szlakom cywilizacji i postępu.

A przecież nie ten nowy, zapowiadający się dopiero Zachód, ale chociażby nawet i ów stary, czysto średniowieczny, mógł dla nieokrzesanej, zlepionej zaledwo przez Łokietka Polski, stać się wzorem do naśladowania nader jeszcze trudnym. Nie mówiąc już o gruntownym przetrwaniu nagromadzonych na zachodzie skarbów cywilizacji, bo tego miała Polska dokonywać jednocześnie z przyjmowaniem nowych prądów, samo jej powierzchowne zbliżenie się do Europy stanowiło zadanie nielada. Trudno bo było przyswoić sobie, nowicjuszowi, cywilizacyjny dorobek Zachodu, bogaty zarówno w sferze urządzeń społecznych, jak w zakresie nauki i sztuki. Polskim lepiankom z chróstu i gliny, lub ubogim chatom z kłód drzewnych, otoczonych ostrokołem, odpowiadały na Zachodzie bogate, murowane miasta i grody. Polskim drewnianym, lub nielicznym kamiennym kościołkom, wytykały ich ubóstwo i prostotę domy boże w Caen, Tulu-

zie, Paryżu, Moguncji lub Wormacji. Przeciwwstawieniem rodzimego nieuctwa ówczesnej Polski były na Zachodzie — księgi i filozofowie. Naturalnemu nakoniec ognisku cywilizowanego życia naszego kraju, klasztorno-zaściankowej izbie krakowskiego dworu Łokietka i Jadwigi Kaliskiej, odpowiadało zaraz o granicę Karpat, w Budzie, rozpalone tamże przez dom andegaweński ognisko rzymsko-neapolitańskiej cywilizacji, któremu ani arcydzieła Guido da Siena, subtelnego Giotta, ani utwory Danta, lub niebawem Petrarki, nie były obce.

Pomijając już tedy groźne położenie Polski pod względem politycznym, w chwili gdy jej rządy obejmował Kazimierz, dla którego samo już utrzymanie Łokietkowego zleпка przy bycie etnograficznym, dostateczne, a nader trudne stanowiło zadanie, przyznać należy, że podołać ponadto decydującemu momentowi pracy organizacyjnej, reform i cywilizacyjnego zespolenia surowego materiału z ówczesnym zachodem, mógł chyba tylko opatrnościowy zesłaniec. Było mu jednak danym o wiele większe położyc zasługi. On to bowiem pierwszy wskazał młodocianej Polsce, która pod berłem jego w potężne już zamieniła się państwo — nowe, olbrzymie widoki na przyszłość.

O prawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego.

Z książki J. K. Kochanowskiego p. t. „Kazimierz Wielki.”
Warszawa 1900 r.

Józef Szujski w swojej „Historji” *) przedstawia stosunki w Polsce, na początku panowania Kazimierza Wielkiego, w następujących słowach: „Prawidłowy wymiar sprawiedliwości, stanowiący podstawę społecznego porządku, z wiełu miar niedomagał. Panowała wielka w dzielnicach niejednostajność, wyłącznie zwyczajowego, tradycją przechowanego prawa. Istnienie różnych praw (polskiego, kanonicznego, niemieckiego) otwierało bramę bezkarności przez uciekanie się z pod jednego pod drugie. Sądy nie odbywały się w oznaczonych terminach i nie miały tyle powagi, aby powściągnąć pozwanych gwałtowników od nadużyć, nawet podczas przewodu prawnego. Formy prawne otwierały pole pieniaczowi, istniejąca solidarność własności rodowej utrudniała niezmiernie ruch tej własności, pożądany dla podniesienia ekonomicznego dobrobytu kraju.”

Inny historyk, Franciszek Piekosiński, niepospolity znawca polskiego średniowiecza, kreśli obraz sądownictwa za Ka-

zimierza Wielkiego w sposób następujący *); „Zdzierstwa, ucisk i nadużycia na każdym kroku; najwyższa klasa społeczna, szlachta—zdemoralizowana; ucisk ubogich powszechny. W sądownictwie zwłaszcza brak powagi i porządku,

Sądy odbywają się zazwyczaj po obiedzie, a sędziowie zasiadają najedzeni i pijani, na czym traci, oczywiście, powaga sądów. Mały wzgląd na ścisły wymiar sprawiedliwości dotkliwie uboższym daje się we znaki.

Wielmoże przychodzą na sądy, kiedy się sprawy ich krewnych lub służebników odbywają, i hałasem oraz czelnością wymuszają na sędziach przychylnie dla swych protegowanych wyroki.

Oskarżeni o zbrodnie i przestępstwa wymawiają się, że popełnili je na rozkaz swych panów, lub zwierzchników i odchodzą wolni z sądu.

Woźni i służebnicy sądowi, plądrując po okolicach, wyłudniają od ubogich najrozmaitsze datki pod groźbą pozwów, do których nie mają ani od sądu, ani od nikogo upoważnienia. A gdy otrzymają z sądu nakaz egzekucji wykonywują ją (oczywiście na słabszych) w formie prawdziwego rabunku; gdzie np. sąd polecił wziąć sześć wołów z tytułu zajęcia, biorą trzydzieści lub czterdzieści i rozdrapują między sobą, nie czekając, czy sędzia nie ulituje się nad zasądzonym. Podpalacze i gwałciciele uciekają się pod prawo niemieckie, aby uniknąć wymiaru sprawiedliwości sądów prawa polskiego.

Łotrowanie wchodzi na porządek dzienny, szlachta, idąc na wyprawę wojenną, dopuszcza się po drodze różnych grabieży i nadużyć z tytułu prestacki (danin) wojennych, a w obozach stoi luzem, unikając chorągwi, aby uchylić się przed

*) Uwagi nad ustawodawstwem Wiślicko-Piotrkowskim króla Kazimierza Wielkiego.

*) Historji polskiej ksiąg dwanaście.

służbą obozową. Młodzież zgrywa się w kości, a rodzice, wedle starego zwyczaju, płacą za nią przegraną, schodząc wskutek tego nieraz na kij żebraczy. Lichwa żydowska niszczy szlachtę, pomiędzy którą, jak i pomiędzy kmieciami, coraz częściej zdarzają się zabójstwa, mające na celu dojście tą drogą do objęcia spadku.”

Złemu należało koniecznie zaradzić przez ustalenie normy prawnej w postępowaniu sądowym i dążenie do możliwego ujednostajnienia tego prawa na całej przestrzeni państwa, celem zapewnienia mu pożądanego wymiaru sprawiedliwości.

Podjął Kazimierz Wielki zadanie to w sposób przez okoliczności wskazany, w sposób głęboki, bo psychologicznie racjonalny, to jest nieubliżający w niczym ani plemiennemu charakterowi narodu, ani wpływającym zeń zasadom jego zwyczajów prawnych, zastępujących mu dotąd literę prawa...

Z 1347 rokiem wiąże się wiekopomny w dziejach naszych, t. zw. „Statut Wiślicki,” którego pamięć stanowi, obok zasługi późniejszej fundacji uniwersytetu w Krakowie, najpiękniejszy bodaj klejnot w koronie Kazimierza. Z dwóch względów uzyskał ten statut tak zasłużoną chwałę dla swego twórcy: raz, jako pierwsza, bo najdawniejsza wśród prawodawczych usiłowań próba kodyfikacji rozlicznych prawnych zwyczajów polskich, a powtóre jako genialnie pomysłany czynnik cywilizacyjny, mający posłużyć do wyrównania najwybitniejszych w sferze życia społecznego ówczesnej Polski różnic dzielnicowych. Na aureolę opromieniającą statut wiślicki składa się tedy pamięć wiekopomna i wdzięczna o zapoczątkowaniu w nim dwóch, najpotężniejszych w organicznym życiu każdego państwa idei, mianowicie: idei jego jednolitości i, podporządkowującej się temu postulatowi, zasady unormowanego a trwałego obwarowania praw jednostki w ramach organizacji ogólnej.

Myśl prawodawczą wielkiego monarchy podnosi jedna jeszcze okoliczność, a mianowicie: jej zasadnicza poniekąd oryginalność na tle ówczesnej cywilizacji. Analogiczna bowiem działalność, zarówno dawniejszych prawodawców europejskiego kontynentu, począwszy od Jarosława Mądrego na Rusi (XI w.); a skończywszy na królu Magnusie w Danji (XIII w.), jak i późniejsze nieco usiłowania cesarza Karola IV w Niemczech, miały wyłącznie na celu prawno-publiczne uregulowanie stosunku jednostki do państwa, pozostawiając ją zresztą w zakresie stosunków prywatnych w dawniejszej sieci bez wyjścia, lub przynajmniej w położeniu niejasno określonym.

Uwagę Kazimierza zwróciła na siebie ta właśnie sieć i zagmatwanie stosunków prawnych, wytworzone z jednej strony przez odrębności partykularne, z drugiej zaś przez średniowieczną zasadę rządzenia się względem danej jednostki tym prawem, jakiego używała korporacja lub sfera społeczna, do jakiej owa jednostka się zaliczała. Zasad tych jednak, aczkolwiek sprzecznych nieraz z szerszą pojętą, a przez siebie zamierzoną, centralizacją, nie zamierzał król burzyć. Zarówno duch czasu, jak i brak siły odpowiedniej stały temu na przeszkodzie.

Zapragnął też tylko Kazimierz, zarówno wśród samych zasad, jak zagmatwanego ich stosowania, uczynić ład, porządek i wprowadzić stałą normę. Uczynił po temu wszystko, co leżało w jego możliwości. Ponieważ tedy duchowieństwo rządziło się w zasadzie prawem kanonicznym, którego najwyższą instancją była władza kościelna: biskup, a dalej papież,—sfera tego prawa pozostała nietkniętą. Ponieważ dalej, miasta i liczne wsie rządziły się na mocy otrzymanych przywilejów, prawem niemieckim — prawo to pozostało również nienaruszonym.

Wyzwolił tylko Kazimierz mieszkańców swego państwa z pod najwyższej, a zagranicą dotąd, bo w Magdeburgu, znaj-

dującej się instytucji apelacyjnej, przez założenie odpowiedniej metropolii w Polsce, na zamku krakowskim.

Ponieważ jednak ogół ludności polskiej używał w regulowaniu wzajemnych stosunków prawnych, — zarówno prywatnych jak i publicznych, — zwyczajowego prawa polskiego, różnego lub wręcz odrębnego, stosownie do miejscowości, zwrócił się przeto król ku wyrównaniu i ujednostajnieniu tego prawa. Nie tknął on wszelako tych podstawowych różnic prawnych, w jakie zamykał duch czasu zasadniczo pod względem prawnym odmienne, t. j. z urodzenia w pewnych kierunkach uprzywilejowane, lub upośledzone klasy społeczne: rycerstwo (szlachtę) i rolników (kmięci).

Wobec ogromu i trudności zadań tego dzieła poświęcić musiał mu Kazimierz cały dalszy ciąg swojego żywota. Z rokiem 1347 wiąże się właściwie i jedynie pamięć początków jego usiłowań prawodawczych... Jeszcze wcześniej, przed ową pamiętną chwilą, bo już w 1334 roku, potwierdza Kazimierz i rozciąga na całość swojego państwa przywilej Bolesława Pobożnego, mający na celu uregulowanie prawnego stanowiska Żydów w monarchji Piastowskiej.

Rozpoczynając swe dzieło wiekopomne, a posiadając u boku takich doradców, jak uczony w prawie Suchywilk, kanonik krakowski i Jarosław Bogorja ze Skotnik, arcybiskup gnieźnieński, polecił Kazimierz przygotować w kancelarji królewskiej dwa projekty kodeksów: zwyczajowego i uzupełnionego przez nowsze wymagania prawa, przeznaczając jeden dla Wielko- a drugi dla Mało-Polski. Starał się w nich król wedle możności wyrównać zbyt wybitne, a rażące odrębności, w myśl otwarcie potym wygłoszonej zasady: pod jednym królem jedno prawo!

Zwołane późną wiosną 1346 r. na wiec prawodawczy do Wislicy, przychylnie królowi możnowładztwo Małopolskie w całości zatwierdziło kodeks swój, obejmujący 42 artykuły.

Inaczej poszło atoli z Wielkopolanami w Pyzdrach,

dokąd ich Kazimierz zaraz po Zielonych Świątkach tegoż roku zawezwał. Wola królewska spotkała się tam ze stanowczą opozycją i musiał Kazimierz prosić arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jarosława, o pośrednictwo między sobą a wielmożami tej prowincji w celu uchwalenia statutu. Usiłowania arcybiskupa odniosły pożądany skutek i panowie Wielkopolicy okazali się skłonni do uchwalenia dla swojej prowincji osobnego statutu, wszelako formą i treścią zupełnie odmiennego od przedłożenia, jakie uczynił Kazimierz. Gdy nie było innej drogi wyjścia, król zgodził się na ich projekt, zwołał do Piotrkowa w 1347 roku, w marcu, drugi wiec ustawodawczy wielkopolski, na którym uchwalony został statut, obejmujący 56 artykułów...

W styczniu 1356 roku odbył się w Wislicy drugi wiec ustawodawczy Małopolski, na którym uchwalono drugi statut tej prowincji, obejmujący 17 artykułów, a w roku 1361 w Krakowie trzeci wiec Małopolski, poświęcony organizacji sądów ziemskich i reformie najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim. Wreszcie w roku 1368 odbył się czwarty i ostatni wiec ustawodawczy Małopolski, na którym uchwalono czwarty statut tej dzielnicy, zawierający 47 artykułów.

Całkowity zbiór ustawodawstwa Wiślicko-Piotrkowskiego (166 artykułów)... obejmuje i uwzględnia szerokie kręgi stosunków prawnych ówczesnego społeczeństwa, obu jego klas rządzących się prawem polskim, t. j. szlachty i kmięci. Dotyka on bowiem takich, w rozumieniu dzisiejszym, kwestji prawa cywilnego, jak zastawy ziemi i ruchomości, regulacja granic, sposób uwierzytelniania aktów prywatnych, pobór procentu przez Żydów, utrata dowodów urzędowych (dyplomatów), spadkobranie, legitymacja szlachectwa, stosunek kmięci i służebników do pana, działy majątkowe i posagi. Pod dzisiejszy kodeks karny dałyby się podciągnąć uwzględnione tam postanowienia o grze hazardowej, kradzieży,

oszczerstwie, zabójstwie, grabieży, gwałtach, ranach i podpaleniu. Procedury sądowej dotyczą w statucie Wiślickim postanowienia następujące: unormowanie formy egzekwowania wyroków, ustalenie instytucji zastępstwa stron w przewodzie sądowym; określenie terminów sądowych i pobór opłat na rzecz sędziów; postępowanie dowodowe, oparte na przysiędze pozwanego i świadków, oraz instytucja woźnych. Nierozdzielnie jeszcze z sądownictwem połączona administracja opiewa o prawach i prerogatywach kasztelanów, o opiece państwa nad wdowami i o wywołańcach, czyli niepoprawnych gwałtownikach, obłożonych banicją. Dotyka nadto statut spraw wojennych, mówiąc o rycerskiej służbie szlachty, oraz uwzględnia stosunek prawno-publiczny Kościoła do państwa, postanawiając, że w pewnych wypadkach majątki kleryków przechodzić mają na rzecz skarbu monarszego.

Kary za wszelkiego rodzaju przestępstwa, przewidziane w statucie Wiślickim, pozbawione są wogóle właściwego im dzisiaj pierwiastku fizycznej odpowiedzialności winnego. Przedstawiają się bowiem — z wyjątkiem np. ran lub zabójstwa, dokonanego na szlachcicu przez kmiecia, za co groziła temuż śmierć lub okaleczenie, — jako opłaty pieniężne na rzecz pokrzywdzonego, lub jego spadkobierców i sądu. Nadmienić jednak trzeba, że wysokie kary pieniężne w owych czasach groźniej oddziaływały na ogół niż nawet kara śmierci. Rujnąc przestępców, czyniły im one żywot wśród ówczesnego ustroju społecznego stokroć cięższym od samego lęku śmierci, do którego w epoce wojowniczo-zbojeckiej przyzwyczaić się było łatwo.

W przewodniczącej Kazimierzowi myśli gromadzenia zwyczajów prawnych, uderza obok wszechstronności, zarazem i bezstronność, wyrażająca się w zupełnym zaniechaniu faworyzowania tej lub innej warstwy społecznej. Są więc w statucie Wiślickim reprezentowane zarówno interesy organizacji państwowej, jak rycerstwa i kmieci. Słusznie też

można powiedzieć za Szujkim, że statut ten nietylko oznacza miejsca i terminy sądów, zabezpieczając ich spokój i porządek srogiemi karami; ustanawia wnoszenie spraw wedle porządku pozwów; ogranicza solidarność własności rodowej; powściąga pieniactwo — ale zezwala nadto kmieciom na opuszczanie w pewnych wypadkach pana i roli, nie pozwalając grabić ani krzywdzić wieśniaków, oraz ograniczając do jednego roku termin przedawnienia w poszukiwaniu zbiegłego kmiecia...

Obok rolnictwa, otacza Kazimierz rozwijający się handel i przemysł opieką i pieczołowitością, siejąc pełną dłońią ziarna, mające wejść w przyszłości w złoty wiek Zygmunta. Miasta, które Kazimierz mnoży ciągle i podnosi, wzrastają już za jego rządów tak potężnie, że dla pohamowania mieszczan w zbytkach i rozrzutności, widzi się król zmuszonym do poskromienia przepychu i ograniczenia strojów, a nawet i żarłocstwa obywateli miejskich przez odpowiednie przepisy.

Obok prac wewnętrznych, mających na celu dobrobyt ludności, zwraca się Kazimierz i ku zabezpieczeniu monarszego skarbu, opartego na podatkach, pomnażanych przez dochody płynące z rozległych dóbr królewskich; zasilają go jeszcze kary sądowe, dochody z mennicy, eksploatacja soli w Bochni i Wieliczce, stanowiących własność królewską. Te obfite kopalnie stanowiły wtedy największe bogactwo przyrodzone Polski.

Zwraca też Kazimierz uwagę na saliny, zaprowadza i reformuje administracyjną, handlową oraz górniczą organizację tych kopalni. Nie na tym kończy się jeszcze zakres prawno-ekonomicznej działalności wielkiego monarchy. Wydaje on rozporządzenia dotyczące dzierżawców dóbr królewskich, zaprowadza reformę monetarną, podejmuje unormowanie stosunków o dziesięcinę dla ułatwienia kolonizacji i ograniczenia nadużyć, jakich nieraz dopuszczali się księża wyklinający rolników opornych w składaniu dziesięciny Kościołowi.

Kongres Wyszegradzki w r. 1335.

Z rozprawy d-ra Jana Lenieka p. t. „Kongres Wyszegradzki w 1335 roku.” Lwów 1884 r.

Żyjemy dzisiaj w epoce kongresów; najważniejsze kwestje, czy to politycznej, społecznej czy wreszcie naukowej natury załatwiane bywają na zgromadzeniach reprezentantów mocarstw, narodów czy towarzystw. Kongresy, obradujące nad kwestjami społecznymi lub naukowymi w tej formie co dzisiaj, są wynalazkiem nowszych czasów. W średnich wiekach sprawy takie załatwiano na soborach powszechnych, lub dysputach uniwersyteckich. Za to kongresy polityczne nie są nowością, odkąd narody czy państwa weszły w ściślejszą znajomość, a stąd i w bliższy ze sobą stosunek. Nabierały zaś coraz większego znaczenia w miarę jak w grę stosunków politycznych wchodziła zasada równowagi politycznej. W średnich wiekach były one jednak rzadkością. Jednym z pierwszych kongresów, przypominający tak pod względem formy jak i treści dzisiejsze, był kongres wyszegradzki w 1335 roku.

Pogodzenie Czech z Polską za zrzeczeniem się z jednej strony pretensji do korony polskiej, z drugiej zwierzchnictwa nad Śląskiem, zawarcie pokoju między Zakonem krzyżackim a Polską za pośrednictwem króla węgierskiego

i czeskiego... i wiele innych spraw, będących w związku z wyżej wymienionymi, były przedmiotem obrad kongresu... Czynności kongresowe rozpoczęły się około 12-go listopada i trwały przeszło trzy tygodnie. Obrady toczyły się w ciągu tygodnia, a w niedzielę, jako w dniu świątecznym wydawano dokumenty, co zawsze połączone było z pewną uroczystością... Nie obeszło się bez turniejów, hucznych biesiad i innych zabaw rycerskich tam, gdzie przez dłuższy czas bawił zapalony ich miłośnik, Jan Luksemburski, rycerz średniowieczny w całym tego słowa znaczeniu. Nie od tego był też młody margrabia morawski Karol, i Kazimierz, król polski, pierwszy wychowany na świetnym dworze francuskim, drugi na dworze węgierskim. Wprawdzie byli oni obydwaj usposobienia pokojowego, ale już sama młodość pędziła ich do zabaw rycerskich i biesiad. Duszą i ozdobą wszystkich zgromadzonych była w kwiecie wieku, słynna z piękności i zamiłowania do zabaw, żona króla węgierskiego. Zamiłowanie to pozostało w niej aż do późnej starości; pod tym względem niepodobną była wcale, jak i jej brat, do skromnych i pobożnych rodziców, Władysława Łokietka i Jadwigi kaliskiej. Wszystko zatem, piękność okolicy, liczny zjazd rycerstwa, ochoczość monarchów, bogactwo gospodarzy, składało się na to, że bawiono się hucznie i wesoło. A jak liczny był zjazd, najwymowniejszym tego dowodem są cyfry, jakie podaje kronika węgierska. Karol Robert, jako gospodarz, wydawał codziennie na obiad dla króla czeskiego i jego orszaku 2500 chlebów, nie licząc innych potraw bez liku, dla króla zaś polskiego 1500 chlebów; wina wypijano codziennie 180 beczek.

Było to zwyczajem powszechnym, że na takich przyjęciach obdarowywał gospodarz swych gości hojnymi podarunkami. Król czeski otrzymał też od króla węgierskiego bardzo wiele cennych klejnotów, między niemi 50 naczyń srebrnych, 2 kołczany, wspaniałe szachy, 2 krzesła, o których

kronika Thurocza mówi, że były nieoszacowanej wartości; sztylet w cenie 200 marek srebrnych, misę z pereł precudnej roboty. I inni książęta nie odeszli też z próżnemi rękami.

Wesołe zabawy przerywane były waźnemi, bo całą środkową Europę obchodzającymi sprawami. Król polski Kazimierz zobowiązał się do wypłacenia Janowi czeskiemu za zrzeczenie się jego prawa do Polski i tytułu króla polskiego 20000 kóp groszy pragskich. Poręczenie na to wydają panowie znajdujący się w otoczeniu królewskim. Jeżeliby w określonym terminie nie doszło do wypłaty, ręczyciele mają przybyć do Opawy jako zakładnicy i tam będą trzymani dopóty, dopóki zapłata nie będzie uskuteczniiona. Następnie król czeski z polskim zawarli pokój wieczysty, który ma trwać między niemi, choćby nawet zatargi graniczne stały na przeszkodzie...

Nie wiadomo bliżej jak daleko zaszła sprawa zrzeczenia się ze strony króla polskiego pretensji do Śląska. Niezawodnie musiała na kongresie być mowa o tej tak ważnej dla obu stron sprawie; to pewne, że Kazimierz, czując całą doniosłość tej kwestji, chciał ją pozostawić w zawieszeniu, nie wydał żadnych dokumentów, a poprzestał jedynie na obietnicy ustnej. Król czeski zaś, będąc bezpiecznym w posiadaniu Śląska, nie nalegał też na razie na niego, nie chcąc go sobie zrazić...

Po załatwieniu tych czynności zabrali się sędziowie polubowni do zbadania sprawy polsko-krzyżackiej. Przesłuchawszy obie strony, wydali wyrok, że Zakon ma oddać Polsce ziemię kujawską i dobrzyńską, Kazimierz zaś ma darować Zakonowi Pomorze jako wieczystą jałmużnę dla swego i swych przodków zbawienia i zrzec się wszelkich doń praw, tak, jak to zrobili jego poprzednicy z ziemią Chełmińską i Toruńską... Aktu zrzeczenia się pretensji do Pomorza nie wydał jednak Kazimierz na kongresie, tylko zobowiązał się

do tego, podobnie jak to uczynił ze Śląskiem.. Po załatwieniu wszelkich czynności, król czeski wraz z Kazimierzem udał się do Pragi. Dnia 6-go grudnia odbył się uroczysty wjazd króla polskiego do stolicy Czech. Rodzina królewska jako też cały naród witały go z wielkim zapalem i gościnnością. Bawił Kazimierz w Pradze 9 dni, poczym powrócił do kraju, odnosząc z kongresu wyszegradzkiego tę korzyść, że król czeski zaprzestał odtąd tytułować się królem polskim.

Kazimierz długo jeszcze ociągał się z wydaniem aktów zrzeczenia się praw do Śląska i Pomorza... A i naród polski niechętnie myślał o zgodzie z Zakonem. Wojny z nim pociągały za sobą ogromne straty materjalne i straty w ludziach, stąd też wyrobiła się i zaostrzyła trudna do pojednania nienawiść ku Krzyżakom. Sam król, jakkolwiek miłośnik pokoju, nie miał ochoty do zawarcia z nim zgody na podstawie wyroku sędziów polubownych. Żal również było Kazimierzowi zrzekać się na zawsze Śląska, który był prowincją czysto polską. Trudno jednak było walczyć z Czechami i książętami śląskimi, mając na północnej granicy państwa niebezpieczniejszego jeszcze wroga, któryby w danej chwili nie omieszkał korzystać ze sposobności. Nie było innego punktu wyjścia, trzeba było rezygnować ze Śląska i Pomorza, albo też walczyć z Czechami i Zakonem naraz, co niezawodnie mogłoby narazić słabe jeszcze państwo polskie na to, że stałoby się łupem obu wrogów, działających ze sobą we wzajemnym porozumieniu. Nie było zatem innego punktu wyjścia, jak pogodzić się z jednym, a odosobnić drugiego. Godzi się też Kazimierz z Janem czeskim i dnia 9 lutego 1339 roku wydaje w Krakowie akt zrzeczenia się wszelkiego prawa do Śląska...

W ten sposób zakończyły się długoletnie spory, dzielące Polskę z Czechami. Rezultat ich był dla Polski bardzo smutny, bo zupełna utrata Śląska.

Odtąd stosunki między obydwoma narodami i państwami polepszają się coraz bardziej, a niedługo potem, w czasach husyckich, przybierają charakter nawet bardzo przyjazny...

Trudniejsza sprawa była z Zakonem. Kazimierz zawiera tylko chwilowe zawieszenie broni, przedłuża je od terminu do terminu, a tymczasem chwyta się środków dyplomatycznych na wszystkie strony, stara się procesem w 1339 roku zochodzić Zakon wobec całej Europy, a nawet gotów jest wystąpić do walki, tak popularnej w całym narodzie, jeżeli tylko po temu nadarzy się stosowna i korzystna pora. Dopiero sprawy ruskie zmuszają go do zawarcia pokoju kaliskiego, który w najważniejszych swych punktach opiera się na warunkach ułożonych na kongresie wyszegradzkim.

TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
STANISŁAW SMOLKA. Charakterystyka stosunków w Polsce za panowania synów Krzywoustego	5
WOJCIECH KĘTRZYŃSKI. O powołaniu Krzyżaków do Polski	8
KAROL SZAJNOCHA. Pierwszy napad Tatarów na Polskę	16
BOLESŁAW ULANOWSKI. Charakterystyka napadów tatarskich i drugi napad Tatarów na Polskę w roku 1259/60	22
KAROL SZAJNOCHA. Obraz stosunków polskich w wieku XIII, w epoce podziału na dzielnice książęce	36
MICHAŁ BOBRZYŃSKI. Bunt wójta krakowskiego Alberta z roku 1311	42
KAROL POTKAŃSKI. Wojna z Krzyżakami i możnowładztwo polskie za Władysława Łokietka	48
JÓZEF SZUJSKI. Charakterystyka Kazimierza Wielkiego	54
KAZIMIERZ MORAWSKI. Kazimierz Wielki.	58
J. KOCHANOWSKI. Znaczenie Kazimierza Wielkiego w dziejach Polski.	63
J. KOCHANOWSKI. O prawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego	70
JAN LENIEK. Kongres Wyszegradzki w roku 1335	78